Dziś w numerze: PHAN NHUAN **Notatnik z więzienia** • T. WOJCIECHOWSKA **Początek sezonu** • R. KLIMCZAK **Powrót** • Z. TARNOWSKA **Jeden ci nie zaszkodzi** • **Jak to wesele...** • **Weź pan ten samolot!** • **Zewsząd o wszystkim** • **Zbrodnia w Kornwalii**

odgłosy

40 (533)
5. X. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

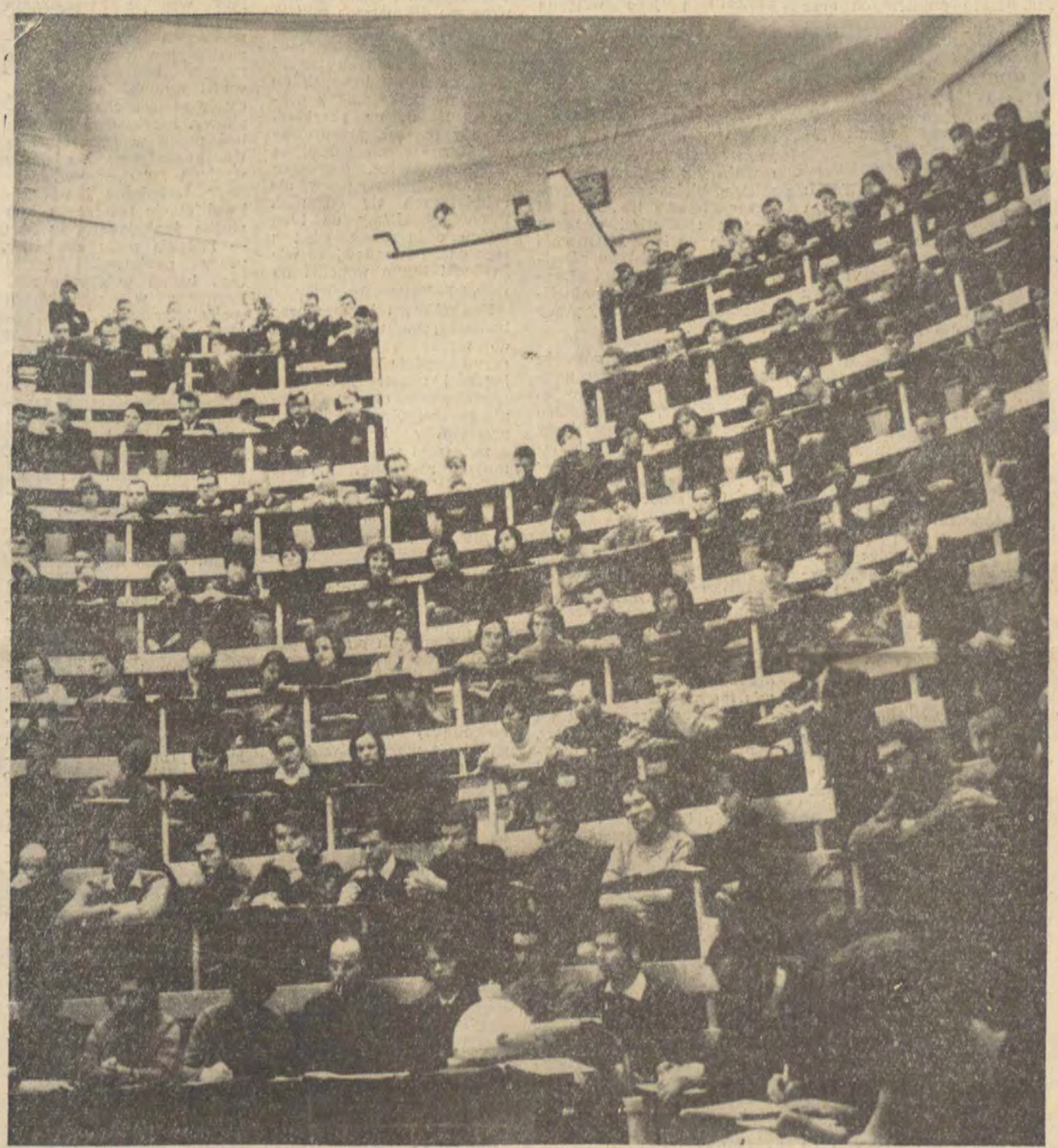

W trosce o ład i bezpieczeństwo

Rozmowa
z Komendantem KMMO w Łodzi
płk Henrykiem Piotrowskim

Z okazji XXV rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa nasza redakcja zwróciła się do Komendanta KM Milicji Obywatelskiej w Łodzi, pułkownika mgr Henryka PIOTROWSKIEGO z prośbą o rozmowę.

ODGŁOSY: Obywatelu Pułkowniku, jak kształtowały się problemy bezpieczeństwa publicznego na przestrzeni dwudziestu pięciu lat działalności Łódzkiej Milicji Obywatelskiej?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie zajęłaby zbyt dużo miejsca, z konieczności więc ograniczę się do wypunktowania problemów najbardziej istotnych.

W pierwszych latach po wyzwoleniu, głównym zadaniem łódzkiej milicji i służby bezpieczeństwa było zabezpieczenie mienia społecznego i zakładów pracy przed grabieżą, zwalczanie wrogiego nam podziemia, zarówno politycznego, jak i gospodarczego, ochrona ludowych organów władzy i obywateli naszego miasta, oraz pilne zadania w zakresie przywrócenia ładu i porządku w mieście. W owym czasie nie były to sprawy łatwe. Niemniej, łódzka milicja i służba bezpieczeństwa oddały wszystkie swe siły i umiejętności, aby sprostać tym obowiązkom, płacąc nieraz najwyższą cenę, cenę życia.

W późniejszych latach budowy i rozbudowy podstaw socjalizmu, funkcjonariusze milicji poświęcili wiele trudu dla zwalczania bandytyzmu, szkodnictwa gospodarczego, kradzieży i korupcji, wytrwale strzegli owoców twórczej pracy mieszkańców naszego miasta, tępiąc w zarodku każdą szkodliwą działalność wroga, sabotaż, dywersję i szpiegostwo.

Na przestrzeni ostatnich lat udoskonalano metody i wprowadzono wiele nowych form pracy w zakresie zapobiegania przestępczości i rozwijania funkcji ścigania karnego. Dziś, obok ochrony gospodarki narodowej i mienia społecznego, łódzka milicja rozwija, w coraz większym stopniu, wielokierunkowe akcje profilaktyczne. Działanie to opiera ona na szerokiej współpracy z aktywem społecznym, z różnymi instytucjami i organizacjami. Wyrazem takiego społecznego zaangażowania jest ofiarna pomoc ze strony ORMO.

Dalszy ciąg na str. 2

Gaudeamus igitur

Wyższe szkolnictwo w Łodzi ma za sobą blisko ćwierćwiecze istnienia. Ledwie umilkły odgłosy frontu, ledwie wiatr rozproszył ciemne kłęby dymu nad pogorzeliskiem, gdzie dokonała się radogoska hekatomba, w murach miasta, po raz pierwszy w jego historii, rozebrzmiały słowa studenckiego hymnu „Gaudeamus igitur..." Nauka weszła tu wraz z niepodległością, wraz z chlebem rozdawanym przez żołnierzy na wojskowych ciężarówkach.

Jest w tym fakcie coś na miarę najwspanialszego symbolu. Ale zrówna nie nauki i chleba niesie w sobie przecież nie tylko emocjonalne treści. Możemy to ocenić szczególnie teraz, po latach, gdy na wyższych uczelniach Łodzi rozpoczynają naukę roczniki młodzieży, która nigdy nie widziała wojny, pokolenie studentów młodszych od Polski Ludowej. Możemy to ocenić szczególnie teraz, gdy wielkoprzemysłowe oblicze miasta kształtuje także myśl zrodzona w patriarchalnych już dla najmłodszych, murach wyższych uczelni.

Nasz stan posiadania w dziedzinie szkolnictwa wyższego jest rzeczywiście niemały. Świadczy o tym ogromna, blisko dwudziestotysięczna rzesza studentów, świadczy ogromna ilość katedr i zakładów, potężna armia pracowników nauki. Świadczy o tym także wciąż przybierająca na znaczeniu obecność wyższego szkolnictwa Łodzi w życiu naukowym Polski, a nawet świata. Symbole przełożyliśmy na język faktów, wypełniliśmy je rzeczywistą treścią i dziś z dumą możemy zbierać tego owoce.

Studencki hymn „Gaudeamus igitur" rozbrzmiewa w tych dniach w Łodzi po raz dwudziesty piąty. Inauguracja nowego roku akademickiego każe nam obejrzeć się za siebie, aby wspomnieć te patetyczne lata, kiedy w Polsce, ludowej i demokratycznej, dźwigano z gruzów naukę i kulturę nadając jej nowe, bardziej ludzkie treści; każe nam także spojrzeć przed siebie, aby zastanowić się, jak wiele jeszcze mamy do zrobienia.

Wierzymy, że z zapałem przynależnym młodości, odbierające właśnie indeksy roczniki studentów pójdą tą drogą, którą przebyli już ich starsi koledzy. Aby zdobytą wiedzę przekuwać na dobrobyt i bogactwo narodu. Aby oddać Polsce Ludowej swój rozum i serce.

ze ŚWIATA

Stolica Maroka — Rabat, przykuwała przez kilka dni uwagę opinii publicznej. Odbyła się tam bowiem pierwsza w dziejach islamu konferencja państw muzułmańskich. Zjechali się na nią przedstawiciele ponad 450 mln muzułmanów, czyli ósmej części ludności świata.

Historia zwołania konferencji jest krótka. Kiedy lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość o pożarze meczetu Al Aksa w Jerozolimie — zebrali się ministrowie spraw zagranicznych krajów Ligi Arabskiej. Wbrew oczekiwaniu, że podejmą oni decyzję o szczycie arabskim, zdecydowano inaczej: najpierw odbędzie się konferencja krajów muzułmańskich. Okoliczności jej zwołania przesądzały o porządku dziennym. Niespodziewanie jednak tematyka obrad została rozszerzona do 7 punktów. Obradowano m. in. na temat wycofania wojsk izraelskich ze wszystkich okupowanych terytoriów arabskich, odzyskania praw przez Palestyńczyków i pełnego dla nich poparcia w walce narodowo-wyzwoleńczej, sytuacji Jerozolimy i ścisłej współpracy między krajami arabskimi. Rzecz wielce znamienna — na konferencji tej reprezentacji palestyńskiej (Organizacji Wyzwolenia Palestyny) przyznano status obserwatora.

Tego wszystkiego nie można było oczekiwać, ponieważ świat muzułmański dzielą zasadnicze różnice ustrojowe i polityczne. Wystarczy, jeśli przypomnimy, że wśród krajów muzułmańskich są monarchie (absolutne i konstytucyjne) oraz republiki, a w tej liczbie również socjalistyczno-demokratyczne. Jest także inna linia podziału. Niektóre z krajów muzułmańskich znalazły się w stanie wojny z Izraelem, inne natomiast, jak np. Turcja, czy też Iran utrzymują z tym krajem normalne stosunki dyplomatyczne.

Nie przeszkodziło to jednak w przyjęciu wspomnianego powyżej porządku dziennego konferencji, która — co więcej — zakończyła się podjęciem kilku ważnych uchwał. Wśród nich wymienić trzeba: apel do wielkich mocarstw, aby wywarły presję na Izrael w sprawie wycofania okupacyjnych wojsk z terytoriów arabskich, potwierdzenie, że Jerozolima stanowi integralną część ziem arabskich oraz postanowienie zacieśniania organizacyjnych form współpracy między krajami muzułmańskimi.

Decyzje konferencji 26 krajów w Rabacie uznać więc trzeba za sukces postępowych sił arabskich i muzułmańskich.

W tym czasie, kiedy toczyły się rozmowy w Rabacie, premier Izraela — Golda Meir wyjechała do Waszyngtonu. Główny cel wizyty — rozmowa z prezydentem Nixonem. Golda Meir nie poszukiwała w niej dróg rozwiązania bliskowschodniego konfliktu, ale domagała się zwiększenia dostaw amerykańskiej broni — samolotów „Phanton" i „Skylark" oraz rakiet ziemia—powietrze. Piszemy: „domagała się", a nie np. prosiła, ponieważ, jak wynika z niedyskrecji amerykańskiej prasy, swoje racje przedstawiała ona „z subtelnością czołgu". Nie wiemy jeszcze, co wskórała Meir w Waszyngtonie. Jest jednak wielce prawdopodobne, że nie opuściła ona stolicy USA z pustymi rękoma.

*

W ostatnich dniach w Stanach Zjednoczonych szeroko reklamowana jest przez prasę obietnica Nixona wycofania z Wietnamu 25—35 tys. żołnierzy. Prasa przedstawia tę zapowiedź jako „akt dobrej woli" i „szczere zainteresowanie pokojowym uregulowaniem konfliktu". W istocie chodzi tylko o działanie obliczone na uspokojenie opinii publicznej.

Rzecznik Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego podkreślił, że USA z uporem domagają się „wzajemności" i stawiają warunki zaprzestania swej agresji. W tej sytuacji tzw. nowa inicjatywa pokojowa Waszyngtonu jest tylko „manewrem, mającym na celu wprowadzenie w błąd światowej opinii publicznej i utrudnienie rozwiązania problemu wietnamskiego".

Rzeczywisty wkład w pokojowe rozwiązanie problemu może polegać — oświadczył rzecznik — jedynie na poważnej odpowiedzi na 10-punktowy program FWN. A takiej Stany Zjednoczone na paryskiej konferencji dotychczas nie udzieliły.

*

Na XXIV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ toczy się debata generalna. W czasie jej trwania obszerne przemówienie, zawierające stanowisko Polski wobec najważniejszych problemów, wygłosił min. S. Jędrychowski. Przemówienie przyjęte zostało z aprobatą, a komentatorzy wyeksponowali w swych korespondencjach z Nowego Jorku głównie te fragmenty, które odnosiły się do problemu niemieckiego.

„Wiemy i doceniamy — powiedział min. Jędrychowski w ub. piątek, — że w Niemczech zachodnich są siły, które uczciwie dążą do sprowadzenia narodu niemieckiego z bezdroży. Siłom tym należy pomóc. Uważnie śledzić będziemy niedzielne wybory w NRF w oczekiwaniu kto weźmie w nich górę i dokąd będzie prowadził zachodnioniemieckie społeczeństwo".

Wynik niedzielnych wyborów w NRF nie przyniósł ani chadecji ani socjaldemokracji zdecydowanej przewagi, chociaż SPD zwiększyła stan posiadania o 22 mandaty. Wszystkie układy sojuszów rządowych są więc możliwe. Ale o tym już w przyszłym tygodniu.

W. SŁAWSKI

W trosce o ład i bezpieczeństwo

Dalszy ciąg ze str. 1

ODGŁOSY: W jakim kierunku przede wszystkim zmierza działanie profilaktyczne?

PŁK H. PIOTROWSKI: W zakresie — moralnego zaniedbania nieletnich, przystosowania do normalnego produktywnego życia osób zdrowych fizycznie, ale „urodzonych w niedzielę", czyli czujących nieprzeparty wstręt do pracy, w zakresie utrzymania porządku w miejscach publicznych oraz ograniczaniu i zwalczaniu alkoholizmu.

ODGŁOSY: Czy w wyniku tych i innych działań zapobiegawczych łódzkiej MO, notuje się spadek przestępczości w mieście?

PŁK. H. PIOTROWSKI: Tak. Ale jest to wynikiem nie tylko profilaktyki, lecz również przemian społecznych i nieustannego doskonalenia pracy aparatu ścigania. W porównaniu z pierwszymi latami powojennymi notujemy znikomą ilość napadów. Na przykład, między innymi, w roku 1946 miało miejsce 119 zabójstw i 352 rozboje, zaś w roku 1968 — 24 zabójstwa i 213, rozbojów, w tym 2 z bronią w ręku. Chciałbym tu zwrócić uwagę, iż rozbojów dokonano na osobach nietrzeźwych. Główny nacisk kładziemy na zwalczanie chuligaństwa, alkoholizmu i przestępstw kryminalnych, więc tych przede wszystkim negatywnych zjawisk, które godzą w bezpieczeństwo obywateli i zakłócają porządek w mieście. Notujemy coraz mniej ciężkich przestępstw, a i te nieliczne są szybko wykrywane.

ODGŁOSY: Jakie postępy na przestrzeni ostatnich lat poczyniła łódzka milicja w dziedzinie usprawnień technicznych?

PŁK H. PIOTROWSKI: Utrzymanie należytego bezpieczeństwa i porządku publicznego w mieście wymaga systematycznego zwiększania wysiłku MO dla usprawnienia działalności profilaktyczno-represyjnej. Jednym z warunków sprostania tym wymaganiom jest między innymi wyposażenie jednostek milicyjnych w odpowiedni sprzęt techniczny. W początkach swojej działalności milicja odczuwała braki w tym zakresie. Jednak w miarę rozwoju rodzimego przemysłu i sił wytwórczych kraju, organa MO otrzymywały coraz lepszy i doskonalszy sprzęt techniczny. Dziś posiadamy dobrze przygotowane zaplecze techniczne, które zabezpiecza sprawne opracowanie materiałów dowodowych dla potrzeb organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Kładziemy szczególny nacisk na wprowadzenie postępu technicznego do pracy wszystkich jednostek milicyjnych i wykorzystanie go w stopniu optymalnym. W każdej komendzie dzielnicowej Mo są inspektorzy techniki dochodzeniowej, którzy dokonują natychmiastowych oględzin w miejscu przestępstwa, zabezpieczają ślady oraz przeprowadzają jego wstępną ocenę, korzystając ze wszystkich nowoczesnych środków technicznych.

Pragnę podkreślić, iż nasze milicyjne laboratorium jest dziś na wskroś nowoczesne i dysponuje szeregiem specjalistycznych pracowni, jak np. fizykochemiczną, biologiczną, fotograficzno-filmową itp., którymi kierują specjaliści różnych dziedzin wiedzy. Obecnie stało się ono niejako ośrodkiem propagowania i stosowania techniki kryminalistycznej w codziennej pracy milicyjnej.

Niezależnie od rozwoju milicyjnych ośrodków naukowo-badawczych, przyjęliśmy zasadę, iż do służb operacyjnych angażujemy ludzi wyłącznie z określonymi specjalnościami: prawników, socjologów, pedagogów i inżynierów, różnych specjalności.

Postęp techniczny wkroczył niemal do wszystkich rodzajów służby milicyjnej. Poczynając od w pełni zautomatyzowanego ośrodka dyspozycyjnego dyżurnego miasta, gdzie na świetlnym planie Łodzi widoczny jest obraz bezpieczeństwa i rozmieszczenie sił MO w terenie, którymi drogą radiową kieruje dyżurujący oficer, poprzez cały szereg urządzeń łączności przewodowej i bezprzewodowej, łódzka milicja dba o zabezpieczenie ładu i spokoju w mieście. W ostatnich latach zmodernizowano również system łączności. Obok pełnej, zautomatyzowanej łączności telefonicznej, wszystkie jednostki łódzkiej milicji wyposażone są w aparaturę dalekopisową, która pozwala na szybkie przekazywanie informacji i poleceń między jednostkami. Bardzo szeroko korzystamy z łączności bezprzewodowej, radiowej. Rozwijamy ją intensywnie. Te wszystkie środki techniczne, o wielkich walorach użytkowych, zapewniają jednostkom milicji dużą operatywność.

Oczywiście, mamy też sprawne środki komunikacyjne. W ostatnich latach ilość pojazdów mechanicznych wielokrotnie wzrosła i dziś łódzka MO dysponuje już poważnym parkiem nowoczesnych, sprawnych pojazdów.

ODGŁOSY: Jakie problemy stały się przedmiotem badań MO?

PŁK H. PIOTROWSKI: Dążąc do osiągania coraz bardziej efektywnych wyników pracy, musieliśmy podjąć kompleksowe badania wielu negatywnych zjawisk społecznych. Bowiem do pełniejszej analizy wyników naszej praktycznej działalności stały się konieczne coraz gruntowniejsze i wnikliwsze opracowania zagadnień, szczególnie nas interesujących.

Skromne początkowo prace o charakterze badawczym, w miarę upływu lat nabierały rozmachu. Czyniono w tym względzie coraz śmielsze próby adaptacji i wykorzystania zdobyczy naukowych dla potrzeb milicji, jak również podejmowano własne badania różnorodnych, niepożądanych zjawisk społecznych kolidujących lub mogących kolidować z prawem. I tak na przykład, między innymi, przeprowadziliśmy szeroko zakrojoną akcję badawczą, dotyczącą ludzi zdolnych do pracy, ale uchylających się od niej. Przywiązywaliśmy do tych badań dużą wagę, gdyż z tego właśnie środowiska wielu ludzi łatwo wchodzi na drogę przestępstwa.

Podjęliśmy też sporo prac badawczych, zmierzających do wypracowania nowych, organizacyjnie lepszych i bardziej skutecznych, form zapobiegania oraz zwalczania poszczególnych kategorii przestępstw kryminalnych, a zwłaszcza rozbojów i wymuszeń rozbójniczych, więc najbardziej niebezpiecznych. Biorąc pod uwagę rosnące wciąż wymogi w dziedzinie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego, dokonaliśmy kompleksowej oceny pracy dzielnicowych, nakreślając im nowe zadania, głównie w angażowaniu coraz szerszych sił społecznych do wspólnego działania na rzecz ochrony ładu i spokoju w mieście.

Wiele czasu i uwagi poświęciliśmy badaniom zagadnienia przestępstw dokonywanych przez nieletnich oraz wyjaśnienia przyczyn i źródeł moralnego zaniedbania wśród tej części społeczeństwa naszego miasta. W wyniku badań socjologicznych, ankietowych i innych zdobyliśmy bogaty materiał, który posłużył do opracowania nowych, skuteczniejszych metod zwalczania negatywnych zjawisk wśród tej grupy społeczności. Wydaliśmy szereg prac monograficznych, z którymi zapoznaliśmy zainteresowane instytucje i organizacje zarówno w Łodzi, jak i kraju. Dużo miejsca w pracach badawczych poświęciliśmy również zwalczaniu przestępczości gospodarczej, alkoholizmu i prostytucji — negatywnym zjawiskom mającym niepośledni wpływ na rozmiary przestępczości. Obecnie prowadzimy badania, zmierzające do wypracowania odpowiednich wniosków i konkretnego działania w zakresie poprawy stanu bezpieczeństwa na ulicach naszego miasta i tym samym zmniejszenia liczby wypadków.

Dodam jeszcze, iż większość prac badawczych wykonaliśmy i wykonujemy, korzystając z pomocy zainteresowanych organów, instytucji i organizacji społecznych naszego miasta.

ODGŁOSY: W jakim kierunku odbywał się rozwój kadry milicyjnej w 25-leciu?

PŁK H. PIOTROWSKI: Pragnąc zapewnić prawidłowe wykonywanie zadań i uzyskanie jak najbardziej efektywnych wyników w zwalczaniu przestępczości oraz utrzymanie należytego ładu i bezpieczeństwa w mieście stało się konieczne systematyczne podnoszenie wiedzy zawodowej i ogólnej całej kadry milicyjnej w Łodzi.

W okresie minionych 25 lat, systematycznie z roku na rok, podnosił się wskaźnik kwalifikacji całej łódzkiej milicji. Dziś Komenda Miejska MO w Łodzi dysponuje kadrą wykwalifikowanych oficerów i podoficerów. Z dawnych ludzi czynu wyrośli fachowcy wysokiej miary. Obecna kadra składa się z funkcjonariuszy o długoletnim stażu pracy, którzy swe doświadczenie zdobyte w praktyce poparli systematycznym uzupełnianiem wiedzy ogólnej, osiągając wysokie walory fachowe w tym trudnym zawodzie.

Kadrę tę uzupełniają z roku na rok w coraz większym stopniu, funkcjonariusze młodzi tak wiekiem, jak i stażem pracy, posiadający wysokie kwalifikacje ogólne i specjalistyczne. W niektórych ogniwach organizacyjnych naszej Komendy kadra ta prowadzi samodzielne badania, często mające charakter naukowy. Przykładem może tu być praca w Laboratorium Kryminalistycznym, gdzie ze względu na dobre wyposażenie techniczne i wysokie kwalifikacje pełniących tam służbę funkcjonariuszy MO — badania mają charakter pracy naukowej. Wyniki tych badań publikują nasi fachowcy w periodykach specjalistycznych, jak: „Problemy Kryminalistyki", w „Służbie MO", bądź w naszym tygodniku „W Służbie Narodu", wymieniając w ten sposób doświadczenia z innymi milicyjnymi ośrodkami badawczymi w kraju.

Należy podkreślić, iż w ostatnich latach, do szeregu służb na stanowiska podoficerskie przyjmujemy wyłącznie ludzi ze średnim wykształceniem, np. do służby ruchu drogowego.

Obecnie na stanowiska oficerskie przyjmujemy kandydatów z wyższym wykształceniem. Należy podkreślić, że i stara kadra w okresie swej służby podniosła swoje kwalifikacje ogólne, kończąc szkoły średnie, a w dużym stopniu także studia wyższe. Cała kadra łódzkiej milicji, tak podoficarska, jak i oficerska, to absolwenci szkół milicyjnych. W szkołach tych uzupełnia wiedzę duża grupa nowo przyjętych funkcjonariuszy. Niezależnie od nieustannego podnoszenia kwalifikacji zawodowych, nasi funkcjonariusze uzupełniają wiedzę polityczno-społeczną, między innymi poprzez studia na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu, oraz na szkoleniach politycznych.

Aktualnie nie ma rodzaju służby milicyjnej, w której nie byłoby ludzi o wysokich kwalifikacjach zawodowych i ogólnych. Prawidłowe rozmieszczenie kadr sprzyja sprawnemu wykonywaniu zadań milicyjnych — z jednej strony, a z drugiej — ma istotny wpływ na przekazywanie wiedzy i doświadczeń zawodowych współpracownikom w poszczególnych komórkach organizacyjnych. To pozytywne zjawisko w rozwoju kwalifikacji funkcjonariuszy milicji wywiera korzystny wpływ na efekty naszej pracy.

Korzystając z okazji, pragnę za pośrednictwem Waszego pisma przekazać całemu łódzkiemu społeczeństwu, władzom naszego miasta, organizacjom i instytucjom, wyrazy pełnego uznania i podziękowania za udzielaną nam pomoc. Funkcjonariuszom Milicji, Służby Bezpieczeństwa oraz członkom ORMO wyrażam podziękowanie za sumienne spełnianie obowiązków służbowych i życzę im dalszych sukcesów w pracy dla dobra naszej Ojczyzny.

ROZMAWIAŁ:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **HALINA SŁAWIŃSKA — Listy z komina**
- **Człowieka wizerunek otwarty — z WANDĄ KARCZEWSKĄ rozmowa Konrada Frejdlicha**
- **Mussetowski teatr miłości,**

oraz

Solina o brzasku, łódzkie hotele, recenzje, felietony, nowela kryminalna.

PHAN NHUAN

Notatnik z więzienia

LIPIEC 1946 R. W PARYŻU

W salonie wielkiego hotelu na prawym brzegu Sekwany świeży i rumiany dziennikarz od kwadransa zadawał pytania szczupłemu mężczyźnie, którego twarz była poznaczona rysami cierpienia i trosk. Dookoła niego setka reporterów i obserwatorów ze wszystkich krajów.

Dziennikarz: — Panie prezydencie, pan jest komunistą, prawda?

Mężczyzna cierpliwie odpowiada:

— Tak.

— Czy należał pan do ruchu oporu?

— Tak.

— Jak długo?

— Około 40 lat.

— Czy był pan również w więzieniu?

— Tak.

— Jakie to były więzienia?

— Dużo więzień, proszę pana.

— Czy długo?

Twarz szczupłego człowieka rozjaśnia szczególny uśmiech. Patrzy na rosłego dziennikarza.

— Pan wie, że gdy się jest w więzieniu czas się zawsze dłuży.

KWIECIEŃ 1942 R., W AZJI

Drugi rok wojny zbliża się ku końcowi. Japończycy okupują Indochiny, ale budzą się już nowe siły do walki. W Wietnamie partyzanci opanowali niektóre regiony.

Pewnego dnia przy granicy chińsko-wietnamskiej policja Czang Kai-Szeka zatrzymała człowieka, o którym wiedziała tylko, że nazywa się Ho Chi Minh. Mówił on, że jest reprezentantem patriotów wietnamskich i że chce się zobaczyć z władzami chińskimi Czung-Kingu. Mężczyznę aresztowano. Najpierw został uwięziony w Tsing Si, następnie w Nan Ning. Stamtąd miano go przesłać do Kouei Lin, potem do Liu Czou. Przed świtem, gdy przygasły gwiazdy, wyruszyli w drogę. Strażnicy trzymali go na sznurze, ramiona miał skrępowane. O zmierzchu zamykano go w więzieniu. Był szczęśliwy, jeśli obok stosu nieczystości znalazł dla siebie kawałek miejsca. Szli od postoju do postoju. Wędrówka trwała 14 miesięcy. Mimo to, że dziennie szedł 50 km, mimo nocy bez snu, mimo głodu, zimna i gorączki więzień zachował uśmiech, który świadczył o wielkim optymizmie.

Nogi i ramiona związane? Kto może zabronić słuchania śpiewu ptaków, wąchania zapachu kwiatów?

Więzienia chińskie w owych czasach były to miejsca, gdzie panoszyły się: nędza, brud, przekupstwo, choroby, gdzie mieszkali ze sobą szulerzy, zbrodniarze, palacze opium. Mimo to żyli jak rodzina. Jedli razem gdy było co jeść, gotowali herbatę na wspólnym palenisku. Ho Chi Minh siadywał niekiedy wieczorem w cieniu i patrzył na śpiący świat. Swiat walczył, a on cierpiał bezczynnie siedząc w więzieniu, daleko od swego kraju, od swych towarzyszy. W takich momentach wyjmował z ukrycia zielony notesik, w którym spisywał swoje wrażenia z całego dnia. Notował je w języku swych dozorców więziennych. Gdyby pisał po wietnamsku, byłoby to podejrzane.

I w ten sposób, w klasycznym języku literackim, upiększonym poetycką przenośnią, powstało ponad sto poematów T'ang, które tworzą to, co można nazwać notatnikiem z wędrówek więźnia.

Więzień-poeta, to ten sam człowiek, którzy przyjmował dziennikarzy w salonach luksusowego hotelu, w pewne popołudnie w czerwcu 1946 r.

Oprac. B. M.

DZIENNIK Z WIĘZIENIA

To tylko twoje ciało jest w więzieniu
Ale twojego ducha nikt nie uwięzi

Żeby prowadzić nasze wielkie dzieło
Musisz ocalić swoje człowieczeństwo.

NA PIERWSZEJ STRONIE

Nigdy nie zajmowałem się wierszami
Ale w więzieniu, nie mając nic lepszego do roboty,
Aby spędzić jakoś te długie dni, aby się nie nudzić
Rymuję — czekając na wolność.

POSIŁEK WIĘŹNIA

Za cały posiłek miska czerwonego ryżu, o nędzo;
Bez jarzyn, bez soli, nie ma nawet rosołu
Tylko niektórym przynoszą jedzenie z domu do więzienia
A kto nie ma nikogo, z rozpaczą woła ojca i matkę.

PORCJA WODY

Porcja wody — kubek do mycia
Do wyboru! Albo toaleta albo herbata.
Chcecie się umyć? Wyrzeczcie się herbaty;
Chcecie herbaty? Wyrzeczcie się mycia.

ALARM Z WIETNAMU

(Informacja Agencji Tch'e Tao która ukazała się w prasie Nan Ning)

Już raczej umrzeć, niż żyć niewolnikiem!
Gdy wszędzie łopocą nasze wolne sztandary,
Jaka to tragedia wchodzić w mrok celi
I nie móc pomagać braciom na polu walki.

•

KSIĘŻYC

Co robić w więzieniu bez alkoholu i kwiatów
Podczas takiej rozkosznej nocy, tak pięknej pogody?
Samotny człowiek patrzy w księżycowe światło
A księżyc poprzez kraty przygląda się poecie. *)

*) Ze zbioru „Dziennik z więzienia"

BOGDA MADEJ

WEŹ PAN TEN SAMOLOT!

Tabliczka wbita w wysoką trawę ostrzega — Uwaga na lądujące samoloty! Ale niebo nad wielką łąką z rzadka poprzecinaną betonowymi pasami jest puste. Nikt nie zapowiada przylotów i odlotów, nie widać pasażerów; jest słonecznie i cicho.

Lublinek — dawniej port pasażerski, dziś przedmiot zgryzoty łodzian, którzy by chcieli latać samolotami jak mieszkańcy Lublina, Wrocławia, Warszawy czy Sandomierza. Także gospodarstwo Aeroklubu Łódzkiego.

• ◆ •

Gospodarze obchodzą w tym roku nie lada święto — 40 lat istnienia. To kawał czasu i nieliczne tylko Aerokluby w Polsce mogą się poszczycić tak bogatymi tradycjami i ciekawą historią.

Zaczęło się od powietrznych marzeń łódzkich fabrykantów, którzy w 1929 roku założyli Łódzki Klub Lotniczy.

Klub otrzymał od miasta niezwykle po żyteczny prezent — teren pierwotnie przeznaczony na rozbudowę stacji ścieków awansował do rangi lotniska. Zbudowano tam budynek portowy, hangar i wkrótce Łódź posiadała już komunikację powietrzną z Poznaniem.

Pierwszy sprzęt szkoleniowy — sześć Hauriotów — 28 Łódzki Klub Lotniczy zawdzięcza por. Franciszkowi Zwirce, który w Łodzi zorganizował szkolenie pilotów wojskowych.

Wśród pierwszych 30 uczniów był pan Wojciech Matz, dziś jeden z najstarszych działaczy AŁ i zawiadowca lotniska Lublinek. Samoloty służyły aż do wybuchu wojny. Instruktor pil. Ożałos przeszkolił na nich ponad 60 pilotów. Od 1932 r. zaczęło latać nad Łodzią 6 samolotów RWD-8 i siedem dalszych — dary od społeczeństwa, m. in. od Zakładów Szajblera i dzieci szkół podstawowych. Ze składek społeczeństwa zbudowano także w 1934 r. drewniany hangar, potem budynek szkoły pilotów

Przedwojenna działalność klubu ograniczała się w zasadzie do szkolenia pilotów, systematycznych treningów i rajdów sportowych. Wśród kilku zorganizowanych w 1934 r. najatrakcyjniejszy był niewątpliwie miesięczny rajd dookoła Europy, w którym pilotowali Wróblewski, Wojkt i Załęcki, a także rajdy do Anglii prywatnych właścicieli samolotów, bo byli i tacy.

• ◆ •

Powojenna historia Aeroklubu Łódzkiego notuje kilka przeprowadzek. Po objęciu w 1945 roku lotniska Lublinek przez wojsko, Aeroklub zajął poniemieckie szybowisko w Dąbrówce koło Zgierza. Szybko, jak na owe lata znalazły się samoloty. Aeroklub otrzymał sprzęt pozostawiony na Dąbrówce przez Niemców i 10 samolotów PO-2 od Armii Radzieckiej.

Pierwsze loty z lin gumowych rozpoczęli szybownicy. Były to jednak loty tylko z nazwy — cała impreza trwała kilka sekund, natomiast popracować trzeba było nad nią kilka godzin. Ale już w rok później podstawowe szkolenie szybowcowe ukończyło 80 osób, wśród których znalazło się 5 kobiet.

Aeroklub Łódzki rozwijał się w pierwszych latach powojennych bardzo dynamicznie. Latać mógł już każdy, a jedynym warunkiem przyjęcia był odpowiedni stan zdrowia. Toteż młodzież coraz chętniej i liczniej odwiedzała lotnisko i wkrótce Dąbrówka okazała się ciasna i niewygodna. Przeniesiono się więc na nowe lotnisko w pobliżu Aleksandrowa, gdzie szczególnie intensywną działalność rozpoczęła sekcja spadochronowa. Po pożarze lotniska Aeroklub wraca znów na Lublinek.

Jubileusz to okazja do pokazania osiągnięć. Jest ich dużo i nie sposób wszystkiego wyliczać, więc w skrócie to, co dla każdej sekcji najważniejsze.

SZYBOWNICY. W 25-leciu przez 24 tys. godzin wylatali pół miliona kilometrów. Wyszkolono ponad 1000 pilotów,

Dalszy ciąg na str. 4

ZOFIA TARNOWSKA

Jeden ci nie zaszkodzi

Ostatnia podwyżka cen alkoholu jest niewątpliwie jedną z form walki z tą plagą społeczną. Ale tylko w połączeniu z wielokierunkowym działaniem z różnymi formami walki — może dać pozytywne rezultaty. W artykule tym chcemy zwrócić uwagę na różne aspekty walki z nałogiem i różne źródła jego powstawania.

Używanie alkoholu jest zjawiskiem powszechnym. Pije się na całym świecie. Rzecz w tym, że pije się różnie. Najwięcej pije się tam, gdzie opinia społeczna jest pełna tolerancji dla używania i nadużywania alkoholu. Tak właśnie pije się w Polsce.

Przy różnych okazjach sięga się aż do XII wieku — tradycji czasów Kazimierza Sprawiedliwego, tradycji spijania toastów jako symbolu bratania się. „Kochajmy się" wołano i wychylano do dna puchary.

Dziś puchary zastąpiono musztardówkami i szklankami. Nie pieczone prosięta stawia się na zakąskę, lecz dzwonko byle jakiego śledzia, często tylko piwo, albo... papierosa. Chodzi bowiem o picie. O uzyskanie nastroju, w którym wszystko jest proste i łatwe. I pogłębia się ten nastrój aż do utraty przytomności.

Są tysiące okazji i tysiące powodów do podawania alkoholu. Narodziny i śmierć, urodziny i imieniny, radość i zmartwienie, spotkanie i pożegnanie, niedociśnienie i nadciśnienie (raz kozie śmierć), załatwianie interesu i protegowanie pana X przez pana Y. itd. itp. Kardynalnym wymogiem gościnności według obyczaju polskiego stało się częstowanie gości alkoholem. Co więcej, wytworzył się jakiś przymus picia. Człowiek, który nie wlewa w gardło okolicznościowej wódki czuje się społecznie upośledzony. Musi mieć sporo cywilnej odwagi, żeby powiedzieć: nie! A kiedy to mówi pomawia go się o nieżyczliwość, brak zaufania, podejrzliwość — Bóg wie jeszcze co. Jeżeli taki abstynent chorobą motywuje swoją wstrzemięźliwość — musi nosić widome cechy choroby, żeby go usprawiedliwiono. „Jeden ci nie zaszkodzi" — oto forma troskliwości o dobre samopoczucie delikwenta. „Jeden dobrze ci zrobi" — to narodowe zawołanie terapeutyczne.

To zawołanie jest stosowane często wobec dzieci. Ileż to razy notowano wypadki „zdrowotnego" upijania dzieci, a nawet podawania niemowlętom do ssania szmatki z cukrem nasączonym alkoholem. Żeby dobrze spały. Rodzice pozwalają dzieciom coraz częściej na picie piwa, wina, a nawet dla potwierdzenia ich formalnie uznanej dorosłości — wódki. Co więcej — w wielu wypadkach sami rodzice, a właściwie ojcowie zmuszają synów do picia. Byłam kiedyś świadkiem opatrywania chirurgicznego 17-letniego chłopca, którego przywieziono podczas ostrego dyżuru do szpitala. Miał ścięgna poprzecinane szkłem butelki. Był to końcowy efekt libacji syna z ojcem.

Żałosny jest widok dzieci sadzanych przy stołach z dorosłymi. Jest wesele, albo np. komunia. Cała rodzina zalewa się dokładnie pod niewinną duszyczkę, a ona sama wraz z rodzeństwem i gronem niewinnych przyjaciół dostaje oranżadę w kieliszkach. Symbolika. Jeszcze bierzmowanie, a potem będzie można zamiast oranżady pić wódkę.

Wiele narodów uznaje alkohol za chleb powszedni. We Francji pije się wino litrami i uznaje się ten napój za nieszkodliwy nawet dla... dzieci. Francja uchodzi z tego powodu za kraj o najwyższym w świecie poziomie konsumpcji alkoholu i największym procencie przypadków alkoholizmu i zgonów z powodu marskości wątroby.

Coraz więcej pije młodzież, a do powszednich obrazków należy widok młodzieńców ziejących alkoholem i słaniających się indywidualnie i zbiorowo wokół kiosków z piwem, kawiarni z winem, ba, nawet sklepów spożywczych, które od godz. 6 rano już mają klientów na „utrwalacz". Młodzież orientuje się na autorytety starszych. Dla dzieci autorytetem są rodzice, opiekunowie lub inne osoby z rodziny. Dla młodzieży starszej znaczenie autorytetów mają przełożeni, starsi koledzy „przywódcy" grup młodzieżowych. Dorównać wzorom — oto tendencje młodych. No i starają się jak mogą, czyli piją tyle co „wzory". Jest to najłatwiejsza droga do powstawania nawyku alkoholizowania się. „Wzory" często w bezpośredni sposób do tego zachęcają. Pierwsza pensja, wkupienie się do zespołu itp. preteksty są jednoznaczne, a w wielu wypadkach przyjmują formy reguł systematycznie i okresowo honorowanych pijaństwem.

Alkohol jest najłatwiejszym do zdobycia artykułem. Przez całą dobę. Od sklepu spożywczego do nocnego lokalu, albo usłużnego dozorcy czy meliny, która uzupełnia upołecznione źródła. Możesz nie dostać pietruszki i buraka w warzywnym sklepie, ale dostaniesz ile chcesz wina od świństwa zwanego „czarem pegeeru" czy „patykiem pisanego" za „dwie dychy" do wytwornego trunku zagranicznej marki. Sklepy alkoholowe nie muszą być otwarte w dni wypłat i inne ustawą zakazane. Zawsze można za tę samą cenę zaopatrzyć się w większe ilości wina i piwa i skutek jest ten sam.

Knajpy z wódką są przy dworcach, stadionach sportowych i targowiskach. W wielu wypadkach specjalnie w takich miejscach. Ze względu na obroty. Celują w tym miejscowości prowincjonalne. Każdy rynek ma co najmniej jedną, w większych miastach co najmniej dwie knajpy. Tu zaczyna się i kończy transakcje pijąc ćwiartki pod ogórka czy oranżadę. Stąd wypada się prosto pod koła pojazdów, kimając na wozie wjeżdża pod ciężarówki. Można w mieście nie dostać cementu, desek, gwoździ, szpadla, ale w GS jest na pewno coś mocniejszego do picia.

Zabawy wiejskie! Kto ich nie urządza. Zawsze pod hasłem różnych szczytnych celów. Zdobywa się pomoce szkolne przez zabawę dla rodziców, którzy zalewają się dla dobra dzieci. Zdobywa się sprzęt turystyczny dla zespołu sportowego przez zabawę z alkoholem. Zysk pewny. Skutki? Milicja na ten temat ma sporo notatek, sądy też. Krew leje się razem z wódką, noży nie używa się do krajania zakąsek lecz do dźgania kolegów w bójkach. Tysiące wypadków i tysiące zezwoleń na zabawy z alkoholem. Komitety antyalkoholowe działają w pobliżu. Bezsilne wobec wyższych sił. Można powiedzieć, że wszystko to odbywa się na zasadzie symbiozy.

Lokale gastronomiczne. Te wyższej rangi. O północy kłębi się tam jak w mrowisku, poplątany, miękki tłum. Od stołów wstają „błędni rycerze" i kłócą się z „damami" o pieniądze. Szarpią oporne i wciągają na parkiet, na który wychodzi w tym momencie pieśniarz w lansadach i zaczyna przekrzykiwać wrzeszczący tłum pieśnią masową o rybkach, które śpią w jeziorze.

Izba Wytrzeźwień. Instytucja rozrastająca się i urastająca do rangi przedsiębiorstwa wyższej użyteczności publicznej, i to dochodowego. Jest zwierciadłem miasta. Tu zjawiają się ludzie w różnym wieku, różnych stanów i zawodów. Coraz częściej młodzież, nawet studenci. W ub. roku nocowało tu 28 reprezentantów wyższych uczelni łódzkich. Branża budowlana wiedzie prym. 30 proc. „pacjentów izby przesypia komfortowo niedostatki mocy produkcyjnej przedsiębiorstw budowlanych. Trzeba się z nimi obchodzić łagodnie, bo mogą się obrazić i nie pójdą do pracy. Zamiast trzech lat będą budować jeden obiekt przez 5-latkę. Wszyscy patrzą przez palce na efekty murarskich poniedziałków, a społeczeństwo płaci za piwo, które oni piją co rano na wiadukcie przy ul. Kopcińskiego, na każdej wznoszonej budowie.

Społeczeństwo płaci na każdym kroku wysokie ceny za skutki pijaństwa i alkoholizmu, ale patrzy na pijaków jak na stada wróbli czy kawek kołujących nad parkami. Pijani są częścią krajobrazu miejskiego. Więcej — są świętymi krowami, którym wszyscy ustępują z drogi. W ub. roku, pod pędzącą na sygnale karetkę pogotowia, wyszedł na jezdnię pijany. Gwałtowny skręt spowodował otwarcie drzwi. Wyleciała przez nie lekarka. Ciężko ranną leczono przez kilka miesięcy w szpitalu A pijak? Pewnie inny lekarz zajął się nim troskliwie w Izbie Wytrzeźwień. Pijaków zbiera się na ulicy jak ulęgałki. Tyle, że z całą pieczołowitością i uwagą. Bo może uderzył się w głowę i ma wewnętrzny wylew? Bo może ma pęknięcie uda albo podstawy czaszki? Chronimy pijaków, pozwalamy im walać się po ulicach i grozić naszemu bezpieczeństwu. Staliśmy się bezbronni wobec ich agresji. Tego nie ma na całym świecie. Jesteśmy wyjątkiem.

Ludzie piją we Francji, w Anglii, w Związku Radzieckim i Bułgarii. Ale nigdzie nikt nie śmie się pokazać publicznie nietrzeźwy. Jest za to srogo karany. Grozi mu swoistego rodzaju eliminacja społeczna, wykluczenie ze środowiska, obniżenie wartości, zakwestionowanie godności ludzkiej. I taka atmosfera potępienia jest klapą bezpieczeństwa. Opinia społeczna nie toleruje widoku pijanego. Nie wyobrażam sobie, żeby w Moskwie, czy Leningradzie, Pradze, Warnie czy Budapeszcie zjawił się pijany awanturnik na ulicy. To byłby społeczny szok. U nas w ub. miesiącu w Konstantynowie dwaj amnestionowani chuligani upili się i napadli Bogu ducha winnego przechodnia. Pobili, obrabowali i uciekli. Wrócili do więzienia. To oczywiste. Ale jak mogli popełnić takie przestępstwo w biały dzień? Wszystko się odbywa w biały dzień. Nikt się już nie kryje w mroki nocy. Chyba, że na „wielkie skoki". Dla małych draństw — napadania, bicia, wyłudzania pieniędzy na wódkę, wino, piwo, dzień nie jest przeszkodą. Pijaństwo toczy się ulicami miast i miasteczek niepohamowane, brutalne, w atmosferze moralnej i fizycznej przewagi.

Dlaczego milicjant nie ma prawa chwycić za kark motocyklisty, wychodzącego z knajpy zanim ten siądzie na motor? Dlaczego motorniczy zatrzymuje tramwaj i szuka 20 minut milicjanta, żeby wysadzić pijanego, który awanturuje się w wozie? Dlaczego dziesięciu pasażerów stoi bezradnie i gapi się zamiast ujarzmić awanturnika?

Statystyka obrazująca wzrost pijaństwa krzyczy liczbami. 4,5 litra czystego spirytusu na głowę (starca i niemowlęcia też) wypili obywatele PRL w 1967 r., 4,8 w 1968, r. 20 proc. wypadków drogowych spowodowali pijani. Miliony złotych wydały szpitale na leczenie rannych w pijackich bójkach. Tysiące litrów krwi — najcenniejszego leku przetoczono wykrwawionym pijakom. Za darmo. Kluby honorowych dawców krwi działają. Bank krwi musi być pełny. Uzupełnimy braki w zanieczyszczonym alkoholem krwiobiegu. Wymyjemy brudne nogi, siostry będą podawać baseny. „Chorzy" wrócą do zdrowia i do... butelki.

Naukowcy znajdują coraz więcej zjawisk negatywnych w złożonej naturze ludzkiej i może w pewnym sensie mają rację, usprawiedliwiając nieetyczne czyny naciskiem skutków cywilizacji. Ale przecież nie można „dać się zwariować" i topić życia w wódce. Zacznijmy jakoś myśleć o klęsce alkoholizmu ofensywnie, a nie z pozycji atakowanych, uciekających, poddających się. Twórzmy inną obyczajowość i wykorzystujmy wszystkie formy prawodawstwa do wytępienia zła i rozbrojenia jego nosicieli.

WEŹ PAN TEN SAMOLOT!

Dalszy ciąg ze str. 3

zdobyto 200 srebrnych odznak, 25 złotych, 2 diamentowe, 2 rekordy krajowe, jeden międzynarodowy. Najlepszy pilot, Józef Pieczewski, w 1955 r. zdobywa mistrzostwo Polski juniorów, w 1957 wicemistrzostwo, w 1959 wicemistrzostwo Polski w 1961 już mistrzostwo, wreszcie w 1969 zdobywa mistrzostwo Krajów Demokracji Ludowej. Wielokrotny reprezentant barw narodowych odznaczony został w 1962 medalem Donskiego.

SPADOCHRONIARZE. Członkowie najmłodszej — założonej w 1947 r. sekcji, zdobyli 39 rekordów krajowych, w tym wyrównano 3 międzynarodowe. Pięciu skoczków posiada tytuł Mistrza Sportu Spadochronowego. Aktualnie członkami kadry narodowej są Bożena Muszkiet i Krystyna Kotlarek-Bednarz. Pierwsza ma na swoim koncie mistrzostwo Polski juniorów, obie — brązowe medale w Międzynarodowych Zawodach Spadochronowych o Puchar Złotych Piasków. Pierwsze miejsce zdobyła drużyna Aeroklubu Łódzkiego w nowoczesnym pięcioboju spadochronowym, a wicemistrzostwo indywidualne Krzysztof Zygowiec. Przeszkolono około 3 tys. skoczków, wykonano około 10 tys. skoków, zdobyto 120 odznak brązowych, 35 srebrnych i 20 złotych. Sekcje spadochroniarzy należą do najaktywniejszych w kraju.

MODELARZE. Najstarsze tradycje, bo budową latawców i modeli latających zajmowano się na długo przed powstaniem Klubu Lotniczego. Na swoim koncie mają mistrzostwo Polski, wiele punktowanych miejsc w zawodach krajowych i zagranicznych, 10 medali. Obecnie sekcja liczy 70 modelarzy wyczynowych, a ponad 1000 szkoli się w Kołach Lotniczych Aeroklubu Łódzkiego.

SEKCJA SAMOLOTOWA. Najstarsza i najuboższa w osiągnięcia, jeśli by za takie liczyć tylko czołowe miejsca w zawodach. A przecież wielu pilotów wyszkolonych przez Aeroklub Łódzki lata na samolotach naddźwiękowych w lotnictwie komunikacyjnym, gospodarczym, szkoli młodych pilotów w innych Aeroklubach. Członkowie tej sekcji wylatali około 30 tys. godzin, patrolowali lasy, przewozili chorych, uczestniczyli w akcji przeciwpowodziowej.

* ◆ *

— Weź pan ten samolot, bo lata ciągle w kółko i buczy — dzwonią do prezesa Muchy zdenerwowani obywatele z Osiedla Młodych. A to nie jeden w kółko, tylko pięć szkoleniowych „Biesów" lata i wziąć ich nie można, bo nie bardzo jest gdzie. Mimo, że nie mamy lotniska pasażerskiego to nad Łodzią codziennie przelatuje około 200 samolotów i chociaż z dołu tego nie widać, to jest to już niezły tłok nad miastem. A przecież Aeroklub zaczyna latać dopiero od godziny 7, kiedy już wiele innych rzeczy hałasuje, a i lata znowu nie tak często, bo czasem, wstyd powiedzieć, nie bardzo jest na czym.

Widziałam równie słynny „JAK-18" — samolot po 6 remontach, do przelatania ma jeszcze 17 godzin — i dwa „Gawrony" w tym towarzystwie najsprawniejsze. Produkowane aktualnie „Wilgi" pozostają na razie w sferze marzeń łódzkich lotników.

Szybowców jest trochę więcej — łącznie z remontowanymi i przeznaczonymi do remontu — 18. Najnowocześniejszy sprzęt szybowniczy Aeroklubu Łódzkiego to dwie „Foki". Sytuacja jest taka, że w niedzielę, kiedy na lotnisko przychodzi najwięcej pilotów, po 8-ej nie ma już na czym latać. Kiedyś Aeroklub otrzymywał od 3 do 5 szybowców w ciągu roku. Już od dawna nie dostaje z przydziału nic. Budżet jest, sprzętu nie ma. Najnowocześniejsze „Piraty" produkowane są tylko na eksport i niełatwo z tej produkcji otrzymać szybowiec dla Aeroklubów w kraju. Marna to pociecha, stwierdzenie, że podobnej sytuacji, kiedy opłaca się remont nawet najbardziej spracowanego szybowca, znajduje się 36 Aeroklubów w Polsce. Więc nie tylko łódzki jubilat. I czego im w takim razie życzyć — czystego nieba, czy prozaicznie — trochę samolotów i szybowców? Oby na 50-lecie można było pochwalić się nowymi rekordami!

BOGDA MADEJ

RYSZARD BINKOWSKI

JAK TO WESELE...

Wzdłuż ścian sadowią się goście. Niezły tłumek. Szepczę do ucha Teściowej, że chyba z pół setki, a ona, że sześćdziesiąt z okładem. Tymczasem Młodzi stanęli pośrodku, a przed nimi Teściowie i Ojce. Ojciec wygłosił kazanie, tfu, takie niby pożegnanie z błogosławieństwem. Matka trzymała obraz święty, Teściowa chlapała święconą wodą ze spodka. Popłakali się starzy, Młodej zapotniały oczy, lecz Młody był twardy. Muzykanci rypnęli w instrumenty, kierowcy przycisnęli klaksony (15 aut, panie!) Wśród jazgotu wyprowadzili się na szosę. Trzasnęły drzwiczki, zaszumiały motory. Zostałem prawie sam wśród gapowiczów. O, nie! Została Teściowa, Babcia i kucharka, i jeszcze ktoś ze starszych.

— Panie, 40 litrów starczy?

— No, myślę...

— A bo my tu jeszcze mamy ze czterdzieści, ale, wiesz pan, takiego swojskiego — mruga do mnie Babcia.

W trzeciej izbie stoły dokoła ścian. Zapchane jadłem, że widelec trudno wściubić. Co pół metra półliterek, poniektóry zatknięty papierowym zwitkiem. Jakiś krewniak z zachwytem:

— Postarali się, co? U niego piętnaście morgów, u niej dziesięć. Ale nie dziwota: rąbnęli w łeb 170 kilo świniaka, zaszlachtowali jałoszkę, a jeszcze poszło z 15 „patyków" gotowizny.

Wychodzę na mostek, gdzie niby drugie wesele: baby rajcują, dzieciaki gonią się z wrzaskiem, obok grasuje grupa kawalerczaków i dziewuch.

A weselnicy już wdeptują w weselne fetowanie. Chrzestny wznosi toast na rozgrzewkę. Do izby wdziera się warkot. Muzykanci tną marsza. Goście gnają do szopy.

Idą, już idą wśród szpaleru gapiów! Matka wita ich chlebem i solą. Chrzestna zaś podrzuca sporą, nagusieńką lalkę. Z szopy wysypują się weselnicy, a każdy tacha coś pod pachą. Prezenty, kupa tego. Szwagier inżynier daje kopertę (pewnie z tysiączek). Na końcu stoi Wujek z workiem, z którego wypuszcza wśród owacji łaciatego prosiaka.

Mrowie ludzkie pod jabłoniami wypatruje oczy, niektórzy siedzą wśród gałęzi. Oceniają, dogadują, komentują i szydzą galancie.

— Tyż mi wesele, nawet nie mają tortu!

— Głupiaś, słodkości będą żreć z kiełbasą i wódką, żeby się porzygali.

— Dadzą, dadzą, ale po obiedzie.

— Matka coś smutno siedzi, mało gadają z Teściową.

— A co, nie wieta bez co?

— No?

— W sobotę zmówiny, w niedzielę wesele, w poniedziałek chrzciny!

Wchodzą do izby, gdzie już półliterki stoją nowe, gdzie już oczy z wolna tracą blask. Akurat Teściowa stanęła i zaciąga śpiewnie w stronę okna:

Nie zaglundej oknym, bo ci czopke widać,
jak zoboczy młody, to sie bedzie gniwać!

A tam, rzeczywiście, powłazili na parapety. Po śpiewce nie reagują wcale. Ino śmiechy się wzmagają i dogadywania. Nagle pacnęło coś w łysy globus Teścia i spadło w salaterkę z sałatką. Mój Boże, co to będzie, toż te cholerniki machnęli zeschłym talerzem krowim przez lufcik! Teść rzucił się do drzwi, za nim dwóch weselników, i z tupotem pognali w mrok, skąd posypały się klątwy i trzaski sztachet, w izbie zaś babski lament uderzył w sufit. Wrócili, poziajani, na czele z chwackim Teściem. Sprawili się! Ojciec ino labiedził, że te sztachetki to mogliby rwać u sąsiada, a tak to mu pół płotu zepsuli. Wzięli się lepiej do kielichów, kiedy za oknami pojawiły się znów gęby ciekawskich. Młody zabronił kolejnej „wycieczki". Wyszli z Chrzestnym do kuchni, gdzie pobrali cichcem po dwie „półbasówy". Młody ogłosił przed domem pojednawcze pertraktacje, po czym wesele mogło toczyć się dalej spokojnie, zważywszy że Matka częstowała plackiem i swojską kiełbasą. Było około 23.00, gdy nastąpiły oczepiny. Ale co to za oczepiny: wodzirej, młody chłopak w beżowym „gangu", zdjął Młodej welonkę, którą zawiesił na rogu świętego obrazu, a we włosy wpiął jej ułamaną z wazonu różę. Natknąłem się na Babcię i mówię, że nie ma żadnego podziału na drużbów i druhny, nie widać tego. Babcia na to, że owszem, najgłówniejszy komendant straży i sołtysowa żona. Ano tak, kwiatki mają przypięte przy piersiach, dumnie je wypinają!

Jeszcze nie było żadnej kawy, a już jęli z rogów pokrzykiwać, że gorzka, gorzka... Młody z Młodą cmok, cmok...

Potem zaczęli znów krzyczeć, żeby Matka podziękowała zięciowi, ale nie wiedziała jak, więc wyręczyła ją kuma:

Dziękuję ci, zięciu, dziękuję ci, zięciu,
żeś popsował wianek moimu dziewczęciu.

Teściowa wymknęła się wśród śmiechów mnie zaś pociągnął Szwagier ze wsi i gada, że ma „ratunek". Dobraliśmy się w kuchni do rosołu, do tego najtłuściejszego, z samymi okami. Teraz możemy pić, mówi Szwagier ze wsi. Możemy, myślę sobie, ale jak tak dalej pójdzie, to nie będzie żadnego reportażu.

Podali obiad, była chyba 0.30. Zadymiły talerze, zadymiły michy z nieboszczką jałowicą; zgrzytanie łyżek, toasty, podśpiewywania. Muzykanci drzemali z głowami na stoliku. Obudził ich ojciec półlitrem. Wzięli się do obertasów, polek, starych przedwojennych tang.

Widzę, że coraz mniej młodych weselników w izbie. Wychodzę w podwórze, a zza stodoły wali w uszy mocne uderzenie. Odprawuje się tam drugie wesele, jak amen w pacierzu. Przeciągnęli kabelek z chałupy, na krzesełkach ustawili radio z adapterem: odchodzą „Czerwone gitary", „Niebiesko-Czarni" i inne kolory w big beacie. Jarzy się skala aparatu, w sadku zaś, w zupełnym mroku weselna młódź skocznie rozdeptuje owcze bobki i owsiane końskie pomioty. I znajdź tu, człowieku, to wiejskie wesele, takie jak to zawdy bywały.

Wracam do izby, gdzie po kątach spore grupki kielichem wieńczą zdrowie Młodych, gdzie płyną dość niecenzuralne konwersacje. Ktoś tam w rogu sypie zagadkami.

— Co to jest: chodzi jak pies, szczeka jak pies, a nie jest pies?

— Ale mądrale! Ani chybi, że musi suka!

Starsza, pomarszczona weselnica pyta z kolei:

— Czerwony roboszek krynci tyłkiem w piosek. Co to? — Starej śmieją się siwe oczy, bo nikt nie wie, więc z triumfem oznajmia, że to zwykła marchewka.

Potem opowiadali jeszcze różne „kawały", ale tych to już nie powtórzę.

Coraz lepiej umilają sobie ludzie nocny, weselny czas. Tu i ówdzie leży głowa w kałuży płynu, obok kielich wywalony, gdzieś tam dzwonko śledziowe w rozsypanych włosach. Ale duch w narodzie twardy, nie tak łatwo ustąpi z placu boju. Zapowiedzieli właśnie kawę i ciasto, więc ściągają biesiadnicy spod roziskrzonego nieba. Coraz mniej półlitrówek, znać kres przyszedł na gorzałę, toż to już 3.00 i czyni się szarawo. Szwagierka ze wsi coś tak mocno blisko mnie siedzi i szepcze do ucha, czy widzę tę drugą, Szwagierkę z miasta, siostrę Młodej. Siedzi, odwrócona niemal do ściany, i dmucha z godnością w łyżeczkę z kawą, a za jej plecami mąż, czyli szwagier inżynier obejmuje wpół młodą jeszcze Chrzestną.

— Jak się wyfiuczyła — mówi Szwagierka ze wsi — ta paniuchna miastowa. Cholera jedna, 10 lat temu pasła gęsi, a teraz pyta Ojca, co to za zwierzątko, co tak dziobkiem wyrywa trawkę.

I Szwagierka ze wsi patrzy ku mnie z bliziuchna, mgliście, i wskazuje leżącego koło muzykantów Szwagra.

Przy kawie i cieście pojawił się chwiejnie Wujek z półmiskiem i jął go ludziom pod nos podstawiać. Babcia, co się wyrwała z drzemki zaczęła mu pomagać:

Dejta ludzie, dejta, choć na garnuszeczek,
bo jej tam potłucze mały bombureczek!

Młody wyrwał się zza stołu i w porę wyciągnął Wujka na podwórze, gdzie go sklął za przynoszenie wstydu, bo przecież goście dali już tyle prezentów, że hej, a ta oferma zaczyna zbierać czepkowe!

Z powodu braku gorzałki rozochocony Szwagier inżynier zniknął pod stołem, a za nim zniknął Chrzestny. Stół zaczął drgać jak przy trzęsieniu ziemi, od podłogi sypnęły klątwy. Obaj chcieli ściągnąć Młodej buty i tym wydębić wódkę; inżynier był szybszy i zakosił oba buty; Chrzestny zaczął mu wydzierać, lecz inżynier wychynął spod obrusa jako zwycięzca i zdobył dużo „rozmownej". Mimo to Chrzestny chodził za nim jak upiór, w ręce dzierżył widelec i zaklinał, że tym narzędziem wyjmie tamtemu żywcem oko. Na szczęście w tej wędrówce wywalił się w łopiany koło ustępu i zasnął.

Rany boskie! Już widno, już czwarta, i co się dzieje? Ludzi aby połowa tkwi na posterunkach, wielu kima. Muzykanci jeszcze grają, ale jak — każdy na swój strój. W końcu i oni padli: perkusista wywalił bęben, głowę złożył na nim. Wychodzę na powietrze, za mną Szwagierka. Słania się i labiedzi, że rzygać się jej chce od tych morgów i chętnie by się wyrwała gdzieś do Łodzi, niby ze mną. Trochę szumi mi w uszach, ta ostatnia wódka była coś ciemniejsza i nad stołem leciała woń zgniłych ziemniaków. Tak, to to „swojskie", o czym mówiła Babcia.

Wchodzę do izby, gdzie już pustki. Jeszcze Teść z Ojcem raczą się tym „swojskim" i radzą o przyszłości dzieci. Nie ma Młodej, Młody zaś leży pod stołem i trzyma za szyję Szwagra ze wsi. Matka prosi, bym się zdrzemnął w stodole. Budzą Młodego, zjawia się Młoda; sołtys radzi, by szła na tę nockę poślubną w welonie, bo jak w welonie, to się świnie będą dobrze chować... Ale Młody niezdolny do życia, jak kłoda wali się w siano. Depcąc po rękach i uszach znalazłem wolne miejsce. Spanie było koedukacyjne, myszy też się pewnie rozpleniły, zarazy, dość że siano trochę szeleściło.

Około 10.00 zbudziło mnie trzeszczenie desek, krowy czochrały łbami o ścianę stodoły. Powyłaziły z obory, bo jakieś zgrywusy ze wsi wyjęły drzwi i wrzuciły je do studni, a co gorsza, wlały całą bańkę mleka z wieczornego udoju. Woda do niczego! Nikt się wszelako nie martwił tym zbytnio, bo spod stodoły zaczął machać ręką Teść, gdzie oprócz niego ślęczeli nad wiadrem: Ojciec, Chrzestny, Szwagier z miasta, którego żona targała za kołnierz koszuli, dwóch sąsiadów. I wiecie, co oni robili? Oni czerpali chochlą tę „deptaną" z wiaderka i dawali se na „kota". Ojciec rzecze: — Ratujmy się, bo trzeźwiejemy! Siorbnąłem z ćwierć chochli nektaru, wykrzywiło mi paralitycznie gębę i dalej już pozostałem kibicem. Tak z godzinę. Nadchodzili ze wsi biesiadnicy. Kolega Młodego zajechał wozem i załadowano muzykantów, bo zgodzili się aby na noc. Choćby chcieli, to i tak nie mogli kontynuować grania, tak byli zatruci. Pojechaliśmy. W drodze do rowu spadł nam bęben wraz z perkusistą. Jechałem z żalem, bo jeszcze miał być korowód, przedstawienie, jazda na snopku za wozem. Bałem się zostać, bo tam jeszcze tyle tego „swojskiego"...

Kolega Młodego wyjął spod siedzenia mały węzełek. Okazało się, że Matka przygotowała po trochu z weselnego ciasta i ostrzejszych potraw. Nie da rady się wymigać, bo poczytają za obrazę.

— Tylko nic pan nie pisz, że to u nas, w naszej wsi!

Z woleja

Detronizacja królowej

Lekką atletykę przywykło się nazywać „królową sportu", jako że już starożytni emocjonowali się na olimpiadach biegami i rzutami, a dyscyplina jest rzeczywiście szlachetna i piękna, nie brutalna jak np. boks, zapasy czy chociażby piłka nożna. Panowała więc nam w Polsce „królowa" wiele lat, aż tu komuś, widocznie anty-monarchiście, ten stan rzeczy wydał się nienormalny i zaczęto systematycznie naszą „królową" podgryzać. Czyniono to co gorsza w jej najbliższym środowisku — Polskim Związku Lekkiej Atletyki. Początkowo odsunięto od pracy kilku świetnych trenerów jak Mulaka, Kępkę, Gieruttę, Morończyka, Korbana. Były to pierwsze posunięcia, które w tym okresie zbytnio nie przeszkadzały w rozwoju tej dyscypliny sportu, ale później czyli właśnie teraz wyszły na jaw. Baty otrzymane w Atenach są między innymi wynikiem rozgrywek personalnych w łonie PZLA.

Druga przyczyna, która właściwie powinna być pierwszą, to zupełne zaniedbanie pracy z młodzieżą w szkołach. Postawiono po prostu w naszym szkolnictwie przede wszystkim na gry zespołowe, zapomniano o gimnastyce (stąd również słabe wyniki naszych gimnastyków) i lekkiej atletyce, której konkurencje są przecież podstawą do uprawiania innych dyscyplin sportu. Trudno wyobrazić sobie piłkarza czy koszykarza nie umiejącego biegać, tymczasem wielu sportowców wyczynowych ma właśnie duże braki w tym podstawowym szkoleniu.

Początkowo w okresie świetności polskiej lekkiej atletyki (koniec lat pięćdziesiątych), władze tej dyscypliny sportu osiągnęły stan samozadowolenia. A cieszyć się było z czego. W latach 1956—1957 Polska nie poniosła ani jednej porażki w meczu międzypaństwowym. W 1957 r. mieliśmy trzecie miejsce na świecie za USA, ZSRR i drugie w Europie. Na mistrzostwach Europy w Sztokholmie (1958 r.) Polska zdobyła 12 medali, w tym 8 złotych. Jeszcze w 1966 r. na mistrzostwach Europy w Budapeszcie nasi lekkoatleci zdobyli 15 medali, w tym 7 złotych. Był to już „łabędzi śpiew". Zaczęliśmy przegrywać wysoko z rywalami, stara kadra powoli się wykruszyła, zabrakło następców. Kolosalny postęp zrobili lekkoatleci NRD, Francji, W. Brytanii, natomiast my stanęliśmy w miejscu. Przecież na meczu międzypaństwowym w 1958 r. Polska — USA na Stadionie Dziesięciolecia był komplet 100 tys. widzów, (nasi mężczyźni przegrali wtedy tylko 18 pkt. 97 : 115, a panie wygrały 54 : 52). I niech ktoś tu powie, że lekka atletyka nie jest sportem widowiskowym.

Tymczasem tartanem wykłada się bieżnie i skocznie małego stadioniku na Skrze, zamiast areny spotkań międzypaństwowych — Stadionu Dziesięciolecia.

Sceptycy powiedzą — a telewizja, przecież to ogromna konkurencja dla organizatorów spotkań międzypaństwowych. Mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że po tym, co TV zrobiła w czasie transmisji z Aten, nie będzie takich kłopotów. Chodzi o to, że tuż przed finałowym biegiem sztafetowym 4 x 400 z udziałem zespołu polskiego w składzie którego biegli przecież mistrz Europy Werner i brązowy medalista Grędziński, wyłączono wizję a następnie miła spikerka zapowiedziała... Jacka i Agatkę. Nietrudno sobie wyobrazić, co się działo przed telewizorami w całej Polsce.

Mistrzostwa Europy w Atenach wyraźnie wykazały słabość polskiej lekkiej atletyki. Zdobyliśmy tylko 7 medali, w tym dwa złote. „Królowa" została „zdetronizowana". Na szczęście pojawiło się kilku młodych lekkoatletów jak skoczek w dal Stępień, miotacz Gryzboń, którzy może w przyszłości doprowadzą do dawnego stanu świetności. Są to jednak nadal jednostki. Potrzebna jest tutaj planowa praca w szkołach, klubach z młodzieżą, pod kierunkiem dobrych trenerów, których na szczęście w Polce nie brakuje. Zrezygnujmy może z „eksportu" trenerów za granicę, niech pracują oni dla Polski w kraju, a nie na sukcesy naszych rywali. Zrezygnujmy z lig, które kosztują masę czasu i pieniędzy, a właściwie nie podnoszą poziomu polskiej lekkiej atletyki. Może wtedy „królowa" powróci na tron?

MIECZYSŁAW STOLARSKI

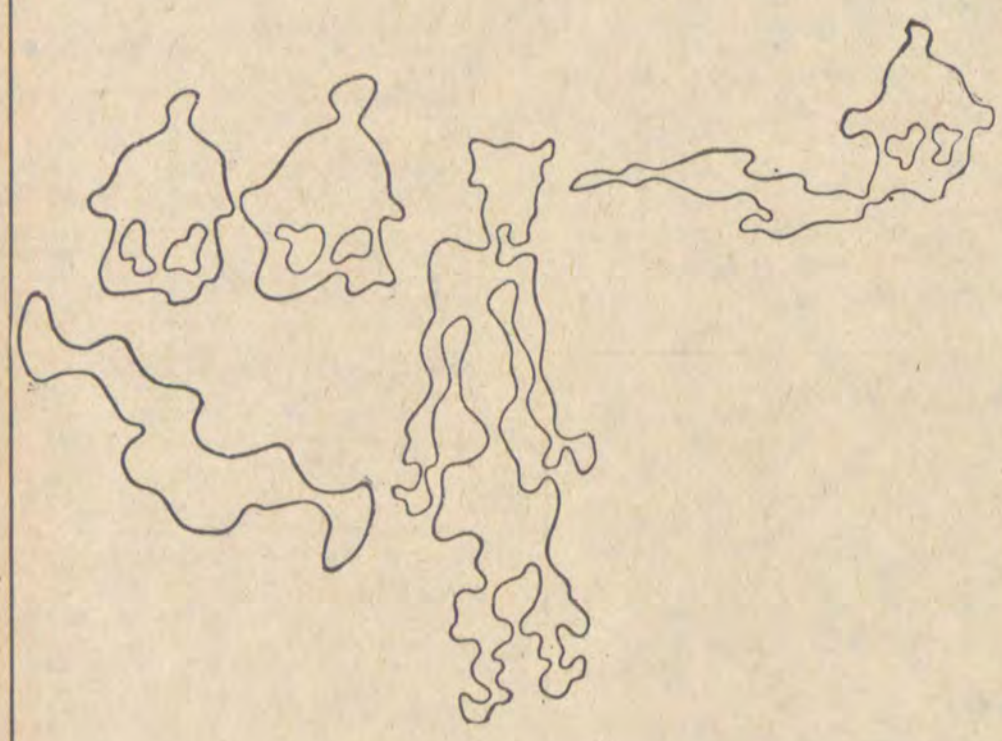

Rys. W. Strzemiński

STANISŁAW KASZYŃSKI

Na dzień

Jeszcze w letargu wszystko
pod terrorem bezruchu
ziemia uległa i głucha
wydrążona z pulsu
daleko do grusz polnych
pejzaż bzów zapoznany

i
tylko
ocalone ptactwo
na ten czas zostałe
Za oknem czarne grudy wron
ognie wiewiórek na ścieżkach parku
albo ich rozbłyski w szkieletach gałęzi

Ale
idzie szept traw przez cmentarze naszych udręk
i ibsenowski krzyk słońca
kroplą opada w dłonie
za krtań chwyta błękitem
To będzie dzień
kiedy raz jeszcze umkniemy śmierci

WOJCIECH KAWIŃSKI

Przedmiot

Ubogi przedmiot pamiętania
wśród innych sprzętów codzienności

z dotyku rodzi się ta postać
puste zwierciadło nikłych kości

Dopóki mogę nieść go w sobie
po zasypanej rdzą równinie

pieśń jego mnie przy życiu trzyma
a pod powieką blask nie ginie

Ale już przenikliwy powiew
unosi świata mdłe obrazki

szyderstwo dzwonu ze współczuciem
miesza się: jest w tym prawo łaski

która ci daje poznać siebie
w wieloistocie w ziemskim chlebie — —

RYSZARD KLIMCZAK

POWRÓT

Fragment większej całości

Andrzej skręcił w przecznicę swojego imienia — stąd już tylko jeden skok do domu — gdy zastąpili mu drogę Kaziek i Bob.

— Idziesz z nami — powiedział rozkazująco Kaziek. Jego oddech miał oprocentowany zapach.

— Dokąd?

— „Cristal". Odpowiada?

— Idę. — Andrzej zdziwił się z jaką łatwością zmienił zamiar. „Dlaczego przystałem na ich zaproszenie. Przypadkiem spotkani, ani mili, ani sympatyczni znajomi. Nie cierpię ich — żachnął się. — Idę. Dlaczego? Czy na każde pytanie należy sobie odpowiadać?" Wzruszył ramionami.

W przyzwoitym lokalu takie miejsce nazywa się lożą. Usiedli. Andrzej przyglądał się bacznie kolegom. Nie myślał jednak o nich. Wykreślał na zaplamionym obrusie linią wyobraźni trójkąt, którego wierzchołki stanowiły guziki marynarek. Trójkąt był równoramienny.

„Ile stopni wynosi suma kątów?... ależ oczywiście... dwa kąty proste".

Z końca sali dobiegały tony sentymentalnego tanga. Jakaś blondynka kładła się w tańcu na kaprawego majora. Kilka par sennie powłóczyło nogami. W całej knajpie cuchnęło wódką i skwaśniałą śledziową sałatką. Tańczące pary sprawiały wrażenie spitych.

„...Stadium, w którym jeszcze krępuje światło i przeszkadzają szmatki.. Ile brakuje osób do sumy dwu kątów prostych" — Andrzej uśmiechnął się.

Bob przywołał kelnera. — Dziewięć ćwiartek...

— Nic już nie ma do jedzenia — informował kelner.

— Nie gadać. Słuchać. Dziewięć ćwiartek i dziewięć szklanek wody. Z kranu.

Kelner wybałuszył oczy.

— Tylko migiem.

— Chcecie grać na butelkach? — Andrzej nie miał ochoty pić. Po co tu z nimi przyszedł? „Samemu sobie robię chyba na złość?".

— Nie, chłoptasiu. Będziemy grać z butelek. Razem z tobą. Trzymaj! — Kaziek wręczył mu butelkę wódki. W drugą rękę wepchnął szklankę z wodą.

„Idiotyczne zamówienie". Kelner wykonał je z sumienną dokładnością. Andrzeja śmieszył ten dwuszereg, ustawiony na stole. Wódka i woda.

Pili prosto z butelek.

Orkiestra zawodziła „Monte Cassino". Pijacko-patriotyczny patos nakazał zatrzymać się tańczącym. Parkiet opustoszał. Została tylko jedna para.

— Chamy. Nie tańczyć hymnów! — Ktoś wrzeszczał na całe gardło.

Wszyscy śpiewali. Andrzejowi zbierało się na wymioty. Tu było takie zaciszne miejsce. Loża się do tego świetnie nadawała. Oparł czoło o brzeg stolika. Przełyk spalały kwasy. Wolno pił wodę.

— Interesująco milczycie — powiedział po chwili Andrzej.

Patrzyli na niego z odrazą. — Gówniarz — syknął Bob.

— Kiedy ty się nauczysz pić? Odbierasz apetyt. Masz — podał mu drugą „ćwiartkę" — to ci dobrze zrobi.

Chór patriotów docierał tymczasem szczęśliwie do... „czerwieńsze będą...".

Druga „ćwiartka" rzeczywiście dobrze zrobiła Andrzejowi. Spoglądał sceptycznie na Boba. Miał wielką ochotę wyrżnąć go w gębę. Doszedł do wniosku, że właśnie tylko dlatego znalazł się w jego towarzystwie. „Skuć na wołowe bitki ten wstrętny pysk". — Uśmiechnął się do tej myśli. Powtórzył:

— No, więc czemu tak interesująco milczycie? Śpiewać panowie, śpiewać. Razem z tym chórem — proponował. — Jazda. Żywo. „Czerwone maki na Monte Cassino", a potem coś ludowego; „dobrze było u matuli w okieneczku stać" — zanucił.

Bob wodził szklanymi oczami po sali. Zdawał się nie słuchać tego, co mówił Andrzej. Wybełkotał jednak: — Ty się ode mnie odczep. — Uniósł swoje masywne ciało z krzesła i potoczył się w stronę orkiestry. Wyciągnął z kieszeni stuzłotowy banknot. — Dla tych panów z loży — powiedział do skrzypka wachlując papierkiem. — „Rozszumiały się wierzby".

Parkiet zaludniły pary.

— Nie tańczyć hymnów! — zawył desperacko Kazimierz. Był zupełnie pijany.

Bob stanął przed blondynką. Podniosła się ochoczo, nie zwracając uwagi na protesty majora. Bob nawet na niego nie spojrzał. W rytmie melodii wypłynęli na środek sali. Andrzej wróżył z plam na obrusie: — Będzie... nie będzie... będzie... nie będzie... Wyszło: będzie awantura.

Blondynka wpatrywała się z zachwytem w Boba. Wszystko się w niej uśmiechało. Usta, dołeczki w policzkach, oczy... Nawet rozpięty ekspres u sukienki układał się w grymas uśmiechu. Bob szeptał jej coś do ucha. Pogroziła mu pulchnym palcem. Major się uspokoił. Wypił duszkiem szklankę wódki, wsparł łokcie na stole. Zdawał się zasypiać. Ordery kąpały się w kuflu piwa.

— Andrzejku — roztkliwił się Kazimierz. — Napijmy się. Nasze partyzanckie. Ech! Las... Bracie... To były czasy. ...Więc pijmy zdrowie, podchorążowie... — zaskrzypiał podwórzowym barytonem. Zaślinił się. Nagle zaszlochał.

„Pijacka zmienność nastroju" — Andrzej spojrzał z odrazą. Kazik płakał. Użalał się nad losem aresztowanego dowódcy, komendanta AK na Łódź.

— Ty, partyzant z Parku Poniatowskiego — zadrwił Andrzej.

— A gdzież to byliście jak Niemcy palili Radogoszcz? Zaniechał jednak zaczepki. „Co za sens obrażać pijanych".

Kazik nie zareagował na pytanie. Uśmiechał się głupawo i z maniackim uporem nakłaniał do picia.

...Hej, pijmy zdrowie, podchorążowie — kwilił, jak zdarta płyta. Celebrował przyjęty na dzisiejszy wieczór ceremoniał: wlewał wódkę do gardła wprost z butelki.

Bob sprowadził blondynkę do ich stolika. Przedstawił ją Kazikowi. — Pani... jak się ślicznotko nazywasz?

— Helenka, ale mówią mi Lala — pisnęła dziewczyna.

„Raczej już przejrzała" — skonstatował Andrzej.

— ...Pani Lala — dokończył Bob.

Tymczasem Kazik już ślinił jej ręce.

Andrzej skinął głową.

— Chłopaki, jedziemy do Lali — zawyrokował Bob. — Strzemiennego. — Nalał do szklanki wódkę i postawił przed Lalą.

— Nie piję — Andrzej wstał. — Jeśli masz ochotę na pieszczoty, Bob, to możesz mnie pocałować w de...

Rzucił pięćdziesiąt złotych na stół, tyle miał przy sobie, i opuścił towarzystwo.

Wielkomiejskie życie stolicy z tragicznego awansu i dniem i nocą koncentrowało się na Piotrkowskiej. Ludzie garnęli się do światła, jak ćmy, wałęsali się bez celu, upojeni swobodą wolnej nocy. Nikt za nimi nie krzyknie: „Halt! Haende hoch!".

Andrzej, potrącony przez przechodniów, powlókł się do najbliższej przecznicy. Poczuł przejmujący głód. Od śniadania nie miał nic w ustach. Zimne powietrze odurzyło go bardziej niż alkohol. Teraz dopiero poczuł jego obecność w krwi, która falami bombardowała mózg.

Skręcił w Zieloną. Tu było już ciemniej i nikt go nie potrącał. Zapóźnieni nieliczni przechodnie znikali w otwartych bramach.

— „To tak jakby w biały dzień, ktoś zapalił świeczkę. I zrobiło się jaśniej".

Roześmiał się z nielogiczności tego skojarzenia. Niby wszystko było oczywiste, proste, gdy w jakiejś zapomnianej już rozmowie — a więc pewnie mało ważnej — Maria powiedziała: „pan powinien studiować". I nagle zrobiło się jaśniej. Oczywiście powinienem studiować. Dlaczego nie wpadłem sam na ten pomysł? Czemu mam jej zawdzięczać jakiś ważki krok w życiu, jakiś zasadniczy zwrot i zakończenie udręki, co właściwie powinienem robić?

„Maria... chyba się w niej podkochiwałem". Imponowała erudycją. Zajmowała urodą. Studiowała we Lwowie filologię romańską. Gdy wkroczyli Niemcy — przeżyła piekło.

„To dobrze, że usłuchałem Marii. Przerzuciła pomost od rozterki do pewności Od jej słów droga wiodła prosto na uczelnię. Co się z nią teraz dzieje?" Egzaminy komplikowały sprawę. Andrzej uświadamiał sobie tę trudność. Zapis jednak odbył się bez kłopotów. Korzystał z przywilejów kombatanta.

„Kule... ominęły, potem... rozterka, potem... przywileje za nadstawianie łba. Kto by przypuszczał. Nikt wtedy nie szastał życiem dla osobistych korzyści w przyszłości. Śmieszne. Wszystko się może opłacać. Żywym".

Aleja Kościuszki rozmachem ruchliwej arterii przecięła Zieloną.

„Wszystko wraca". Zachował w pamięci Zieloną, potem nosiła nazwę Legionów. Bywał tu czasem w kinie „Corso". Teraz znów jest Zielona. Żył w Łodzi, opuścił ją, teraz powrócił. „Wszystko wraca jak dawniej. Czy rzeczywiście wraca? Nie ma powrotów. Jest nowe. Wszystko przesuwa się w czasie. On też jest nowy. Inny".

Profesor Logocki dowodził, że siedzisz pozornie tylko nad tą samą rzeką, patrzysz zawsze na inną rzekę.

Drogę zastąpił Andrzejowi przechodzień. Był w wojskowym szynelu i bez czapki.

„Jakiś maruder" — pomyślał. Typ wypadł z narożnej restauracji. „Namnożyło się od cholery knajp".

— Która godzina? — zaczepił Andrzeja.

Andrzej odciągnął rękaw płaszcza, podsunął do oczu tarczę. — Na zegarze pierwsza, a w kieszeni... pistolet — powiedział znacząco.

Maruder odstąpił, bełkocąc pod nosem przekleństwa.

Andrzej uśmiechnął się ponuro. Podniósł kołnierz płaszcza. Mżył deszcz.

JERZY WILMAŃSKI

AKTYWNOŚĆ KULTURALNA WŁÓKNIARZY

Prezentację dorobku kulturalnego włókniarzy jaką zawiera ta książka *) zacznijmy może najprościej od słów Ireny Sroczyńskiej — znanej wieloletniej działaczki ZZ PPWOiS, obecnie sekretarza CRZZ. „Książka niniejsza — pisze Irena Sroczyńska — jest próbą oświetlenia podstawowych zagadnień i form naszego oddziaływania kulturalnego: zwraca uwagę na funkcje społeczno-wychowawcze pracy kulturalnej w środowisku pracy, przedstawia działalność oświatową, upowszechnianie czytelnictwa, rozwój amatorskiego ruchu artystycznego. Wiele uwagi poświęcono charakterystyce tych zagadnień w środowisku łódzkim, przede wszystkim w oparciu o przeprowadzone badania, sięgnięto także do szeregu interesujących przykładów działalności w innych miejscowościach. Przedstawiając głównie dzisiejszy obraz pracy kulturalno-oświatowej, wskazano również bardziej znamienne momenty z pierwszych lat Polski Ludowej".

To nie grzecznościowa opinia — ta książka jest rzeczywiście kompendium wiedzy i spraw z kręgu kultury wielotysięcznej rzeszy włókniarzy. Zanim jednak przyjrzymy się dokładniej poszczególnym pracom publikowanym w tym ponad 300-stronicowym zbiorze — zobaczmy w jaki sposób redaktorzy książki Aleksander Kamiński i Józef Marczak osiągnęli edytorski sukces.

Otóż dokonali oni prostego zabiegu. Do współpracy zaproszono autorów z dwu środowisk — działaczy k-o Związku Włókniarzy oraz socjologów, pedagogów, i historyków z Uniwersytetu Łódzkiego. W ten sposób wgląd w poczynania kulturalno-oświatowe organizacji związkowej, został poszerzony, zyskał walor wszechstronnego spojrzenia. W tomie „Aktywność kulturalna włókniarzy" mamy więc obok siebie publikacje realizatorów poczynań kulturalnych Związku oraz badaczy specjalizujących się w analizowaniu mechanizmu i skuteczności działań kulturalnych i oświatowych.

Autorzy ze środowiska działaczy to: Karol Grabowski, Jan Janiszewski, Kazimierz Kojder, Teodor Mierzeja i Maciej Twardowski. Pracownicy naukowi publikujący w książce swe prace to: Aleksander Kamiński, Irena Lepalczyk, Władysław Karwacki, Brygida Butrymowicz, Iza Muchnicka i Janina Szypszak. Inicjatorem tomu jest natomiast praktyk i badacz działalności oświatowej i kulturalnej w środowisku włókniarzy — Józef Marczak.

„Aktywność kulturalna włókniarzy" zawiera 12 rozpraw, w których wachlarz tematyczny i problemowy jest niezwykle szeroki. Różna też jest wartość poznawcza poszczególnych prac. W tomie sąsiadują obok siebie prace kronikarsko-monograficzne (np. o teatrze lalkowym w Nowym Targu, o bibliotece w Żyrardowie) obok publikacji „panoramicznych" w rodzaju eseju Wł. L. Karwackiego o tradycjach pracy kulturalno-oświatowej łódzkich związków zawodowych czy szkicu J. Marczaka o upowszechnianiu wiedzy na tle potrzeb społecznych i zainteresowań włókniarzy. W sumie jednak te różne w założeniach i zakresie tematycznym publikacje dają bardzo ciekawy, bo złożony, obraz. Powiem więcej — owe kronikarskie zapiski Kojdera, Mierzei czy Janiszewskiego uwierzytelniają w jakiś sposób ogólniejsze przemyślenia i uwagi snute przez naukowców, próbujących objąć w swych pracach wątki szersze.

Tak więc dla przykładu — zwarta, faktograficzno-sprawozdawcza praca Karola Grabowskiego o amatorskim ruchu artystycznym jest przecież jednocześnie źródłem i aneksem do rozważań Janiny Szypszak na temat psycho-społecznych mechanizmów funkcjonowania teatralnego zespołu amatorskiego. Historia robotniczej biblioteki w Żyrardowie, spisana przez Macieja Twardowskiego jest w jakiś sposób źródłem i aneksem równocześnie do socjologicznych rozważań Ireny Lepalczyk na temat roli książki i biblioteki w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych włókniarzy.

I tak właściwie można by ciągnąć te zestawienia, aż do wyczerpania pełnej listy dwunastu publikacji. Świadczy to o rzeczywiście przemyślanej i mądrej koncepcji tomu, w którym z faktu zanotowanego przez działacza wynika uogólnienie dokonane przez naukowca. Jest to więc książka, której wielka wartość tkwi nie tylko w kronikarskim zapisie faktu, ale głównie w mądrej koncepcji, dzięki której czytelnik otrzymuje rzetelny i udokumentowany obraz dokonań włókniarskiej organizacji związkowej na zagonie kultury.

*) „Aktywność kulturalna włókniarzy". Praca zbiorowa pod redakcją Aleksandra Kamińskiego i Józefa Marczaka. Wydawnictwo Łódzkie i ZG ZZPPWOiS — 1969.

ANDRZEJ GRUN

MINI-KULTURA WYBRANEGO NARODU

30 stycznia 1933 roku. Dzień „Machtuebernahme" — dzień przejęcia władzy przez Fuehrera. Dzień, od którego miała się zacząć dla Niemców i dla całej ludzkości nowa era. Nowa era także w dziedzinie kultury! Niemcy — naród wybrany — miały się stać z woli Fuehrera ośrodkiem tworzącym i dyktującym całemu światu zasady nowej kultury, podstawy nowej sztuki — „sztuki prawdziwej". Nie spodziewał się dyktator III Rzeszy, że kultury tej nie będą chciały przyjąć i nie przyjmą podbite narody, mimo tak ważkich argumentów jak karabiny, czołgi i samoloty. Bierny opór wobec ekspansji tej kultury i sztuki był w krajach podbitych powszechny. Ci nosiciele nowego porządku politycznego, społecznego i kulturalnego zaczęli swoje panowanie od palenia stosów książek na placach Kolonii, a skończyli na rabunku i bestialskim niszczeniu zabytków kultury i sztuki.

O tych sprawach traktuje obszernie książka Bogusława Drewniaka „Kultura w cieniu swastyki", wydana staraniem Wydawnictwa Poznańskiego. Na tę ze wszech miar interesującą i pożyteczną pozycję składają się, poza artykułem wstępnym, szkice o plastyce, muzyce, teatrze, filmie i programach radiowych III Rzeszy. Ponadto w książce zamieszczony jest obszerny artykuł pt. „Jubileusz Gerhardta Hauptmanna", który stanowi bardzo istotny komentarz do rozdziału o niemieckim teatrze. Bardzo ważnym uzupełnieniem książki jest zawarty w niej materiał ikonograficzny. Zdjęcia recenzji prasowych, plakatów, oficjalnej korespondencji Rosenberga i Goebbelsa, fotosy aktorów z czasów świetności Rzeszy, artystów niemieckich, wreszcie reprodukcje obrazów malowanych przez samego Fuehrera. W książce swojej Drewniak podjął się nakreślenia wizerunku duchowego półbogów, którzy w „Tygrysach" i „Messerschmidtach" wieźli na Wschód i Zachód kulturalne posłannictwo. Równie ponury co groteskowy to wizerunek. Specjaliści od kultury i sztuki III Rzeszy, na czele z Goebbelsem i Rosenbergiem, dokonali „czystki" wśród zmarłych i żyjących twórców. Dokonali zabiegu kastracji nie tylko na twórczości współczesnej, ale i na spuściźnie minionych wieków. W ten sposób na cenzurowanym znalazł się Max Liebermann — największy niemiecki impresjonista, obok Łukasza Cranacha Starszego, malarza cudownych aktów — który był ponoć w swoich obrazach nazbyt wschodni. Odsunięto lub zmuszono szykanami do wyjazdu z III Rzeszy wielu innych malarzy i architektów.

Nad „czystością sztuki" czuwali ludzie ze wszech miar kompetentni. Zarówno Hitler jak i Rosenberg, naczelny ideolog „zdobywców" świata, zajmowali się malarstwem, malowali landschafty, które Drewniak określa jako ponury „podrealizm" w najgorszym, mieszczańskim stylu. Tak więc kontrola polityczna i opinia biegłych spoczywały w jednych rękach, w efekcie czego narodziło się określenie „sztuka zwyrodniała" — „entartete Kunst". Tym określeniem opatrzone były wszystkie nowatorskie kierunki w plastyce i architekturze — od impresjonizmu począwszy. Skutki działalności kulturalnego młyna — Herrenvolku nie dały na siebie długo czekać. W 1933 roku w Berlinie miała miejsce wystawa, na którą złożyły się portrety i popiersia Fuehrera, Goeringa i Goebbelsa. Wiele dzieł słabych ośmieszało po prostu czołowe postacie Rzeszy. Stylem oficjalnym jaki zapanował w architekturze i rzeźbie stał się wyprowadzony przez naczelnego architekta Rzeszy A. Speera styl ciężkich, pseudomonumentalnych norymberskich Parteitagów. Była to zaiste odpowiednia scenografia.

Wiele miejsca poświęca Drewniak w swojej książce niemieckiej muzyce. Cytuje słowa Goebbelsa: „Właściwie, to my jesteśmy wybranym narodem świata nie tylko ze względu na muzyczną twórczość, ale również z uwagi na uzdolnienia do odbioru tej muzyki. Naród niemiecki posiada rzadki dar, wrodzoną, naturalną, wypływającą samą z siebie, absolutną muzykalność..."

Oczywiście politykę repertuarową sal koncertowych kształtowały również ustawy norymberskie i niezawodny Herrenvolk. Ale naprawdę „to nikt nie wiedział, jaka ma być ta narodowo-socjalistyczna muzyka. Wiedziano, że musi być „czysta rasowo i wolna od jakichkolwiek politycznych obciążeń; podobnie jak w sztukach pięknych obowiązywała zasada realistycznej figuratywności, tak w muzyce podstawową zasadą miała być tonalność". Umieszczono więc na indeksie Honeggera, Hindemitha, Schonberga i Berga. Pozostał Ryszard Wagner, ulubiony kompozytor wodza. Nie zaprzeczalne wartości wniesione przez kompozytorów niemieckich do kultury światowej zostały zakwestionowane, lecz „Goebbels nie był w pełni zadowolony z muzyków III Rzeszy".

Sądy nad Goethem, Schillerem, Stefanem Zweigiem i wieloma innymi odbywały się w czerwonej poświacie płonących książek, przy dźwiękach czysto aryjskiej muzyki, w sztafażu ponurej architektury Parteitagów. Jaka była odpowiedź narodów podbitych na ekspansję kultury spod znaku swastyki nie trzeba przypominać.

*) Bogusław Drewniak — „Kultura w cieniu swastyki", Wydawnictwo Poznańskie 1969, str. 312, cena 35 zł.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Ballady przy kawiarnianych stolikach

Tytuł tej książki jest interesującym zaproszeniem do jej lektury *). Kawiarnia, wiadomo, to słowo kojarzy się zawyczaj z dyskusjami, rozmowami czy po prostu plotkami tłumionymi dymem papierosów i aromatem kawy. Tym czasem obwoluta „Ballad" wprowadza w pewne zakłopotanie, gdyż widnieje na niej kontur byka hiszpańskiego. Dopiero treść stanowi uzasadnienie takowego projektu plastycznego wykonanego przez Janinę Musialczyk. Otóż przez całą powieść przewija się fascynacja autora Hiszpanią, jej ludźmi, kulturą i krajobrazem. Hiszpania jest tu niemal obsesją; wydłużone ludzkie twarze przywodzą na myśl pisarzowi obrazy El Greco, wino malaga marzenia narratora przenosi do kraju za Pirenejami. Czemu służy to nieustanne powracanie do motywów hiszpańskich?

Władysław Bodnicki w głównej mierze skupił swoją uwagę na współczesnej prowincji, biorąc ją za przedmiot opisu. Szarzyznę życia codziennego w małym miasteczku wymieszał z intensywnym kolorytem iberyjskiego południa (znanego, niestety, nie z autopsji), nadając tym samym powieści egzotyczne znamiona. Stąd możemy posłużyć się metaforą, że książka ta to „hiszpańska krew w polskim ciele". Kontrastowe ujęcia sytuacji oraz fakt, że silna ekspresja w kreśleniu postaci, impulsywność sąsiadująca z wyszukaną subtelnością, łagodnością, z niezmąconym niczym ładem i spokojem potwierdzają hiszpańskie fascynacje autora. Zresztą sam Bodnicki doszukuje się paralel między mentalnością hiszpańską a polską. To wszystko jest jednak tylko elementem spajającym poszczególne sytuacje, sylwetki i ich opowieści. Kompozycja ramowa powieści (praktykowana m. in. przez Cervantesa), dotychczas nie stosowana w twórczości krakowskiego autora, jest w odniesieniu do tej książki poświadczeniem znacznych umiejętności warsztatowych i artystycznych Bodnickiego.

Wielowątkowa konstrukcja jest jednak bardzo przejrzysta, niczym nie zagmatwana. Autor nie uległ tu modzie monologizowania jednej osoby, lecz przeciwnie — zastosował splot wielu relacji monologowych kilku postaci. Narrator występujący na początku książki usuwa się z pierwszego planu po skosztowaniu kieliszka malagi, po którym poczyna się czuć „podwojonym, potrojonym, zdziesięciokrotnionym", poczyna wstępować we wnętrza poszczególnych osób, będących przedmiotem jego obserwacji. Indywidualność swoją (nawiasem mówiąc niezwykle bogatą w wydarzenia z przeszłości i złożoną psychicznie) usuwa w cień, przypominając o jej istnieniu od czasu do czasu w krótkich komentarzach do opowieści wspomnianych bywalców kawiarni. Od tego momentu występuje właściwie kilku narratorów.

Wprawdzie akcja powieści została zagęszczona do jednego popołudnia i wieczoru, stanowi jednak zderzenie dwóch czasów: teraźniejszego i przeszłego. Oczywiste jest, że opowieści tych kilku narratorów dotyczyć mogą jedynie ich przeszłości. Tych kilka „różnych przeszłości" spotkało się w jednej prowincjonalnej kawiarni. Każda z nich żyje własnym światem, istnieje zupełnie odrębnie, nie może przeniknąć do życia drugiej. Możemy powiedzieć, że autor nadał im piętno egzystencjalizmu. Z natury kompozycji ramowej powieści wynika jednak, że te postaci musi coś łączyć. Narrator główny, który wkroczył w świat przeżyć każdego z następnych narratorów, nie tylko wydobył z głębokich pokładów psychicznych ich jestestwa, ale owe wyalienowane, w pewien sposób rozbite jednostki scalił przemyślaną konstrukcją powieści. Wszystko przecież rozgrywa się na płaszczyźnie humanitaryzmu. Sama forma książki jest poważnym uzupełnieniem jej treści.

Szkicując panoramę życia współczesnego miasteczka prowincjonalnego uwzględnił Bodnicki przede wszystkim problemy młodzieży, a zwłaszcza różne drogi awansu społecznego, z którym nierozerwalnie jest związana problematyka moralna. „Przebijanie się" młodzieży przez życie, pozbycie się kompleksów pochodzeniowych, docieranie do wiedzy przedstawił autor jako sprawy niezwykłej wagi moralnej. Awans społeczny, zdaniem Bodnickiego, nie równa się jeszcze awansowi psychicznemu. Obciążenia z przeszłości pozostają. Młodzież ta w dalszym ciągu nie czuje pełni życia. Niedosyt pcha ją dalej. Starsze pokolenie, które ją wychowuje, jest w pewnym stopniu dla niej wrogiem, gdyż opieka nie jest bezinteresowna. W ten sposób autor penetrując szlaki współczesnego społeczeństwa chciał wskazać na nowe ideały nowego pokolenia, które kształtowane są przez nową rzeczywistość. Są one jeszcze w stadium szczątkowym, ale zapowiadają już nowe, inne nieco pojęcie humanizmu i moralności społecznej. Niewątpliwie jest to jeszcze niepełne ujęcie złożonej problematyki dzisiejszej rzeczywistości. Rozgrywa się to w mikroświecie. Prowincji tej nie można przenieść na resztę świata.

W końcowej partii książki ponownie na czoło wysuwa się narrator, „ten z dużego miasta", który niespodziewanie spotyka się ze swą byłą uczennicą, która w czasie akcji powieści jest aktorką jednego z teatrów objazdowych. Po kilku minutach uroczych wspomnień widzimy na scenie teatru narratora, ongiś aktora, który musiał rozstać się ze sceną ze względu na stan zdrowia. Gra rolę w zastępstwie niedysponowanego aktora, gra ją doskonale, zbiera duże brawa. Jednak wielkie napięcie emocjonalne przyczynia się do poważnych zaburzeń sercowych.

Całość książki jest przesycona poezją, zabarwiona subtelnym, niepatetycznym romantyzmem z pewnym odcieniem melancholii, zadumania i wieloma niedopowiedzeniami, które z powodzeniem może uzupełnić urzeczony tą powieścią czytelnik.

*) Władysław Bodnicki, Ballady przy kawiarnianych stolikach. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1969, s. 195+1nlb.

Spektakle tygodnia

		spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI				
	„Kniaź Igor"	2	1260	100
	„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie"	1	1260	100
	„Jezioro łabędzie"	1	1260	100
	„Le Ballet Theatre Contemporain"	2	2520	100
	„Romeo i Julia",	1	1260	100
	„Cyrulik Sewilski"	1	1260	100
NOWY				
	„Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	3	2100	100
NOWY Mała Sala				
	„Mąż i żona",	1	200	100
	„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	150	75
	„Kaprys",	2	400	100
OPERETKA				
	„Skrzydlaty kochanek"	2	2200	100

LUDZIE XXV-lecia

Fot. A. Wach

Konstanty Mackiewicz

Twórczość malarska nestora polskich plastyków — 75-letniego Konstantego Mackiewicza, jest we współczesnym malarstwie zjawiskiem wyjątkowym; nieprzystawalnym do żadnej orientacji artystycznej. Malarstwo to, charakteryzujące się w ciągu wielu lat przejmowaniem różnych stylistyk (źródeł tego faktu należy szukać w wielkiej sprawności manualnej), stało się ostatnio dość niezwykłą próbą syntetycznego ujęcia całej wielowiekowej kultury plastycznej. Jest przedsięwzięciem wysoce intelektualnym. Dzisiejsze malarstwo Mackiewicza stało się próbą wyjścia poza konkretny okres historyczny z jednoczesnym ogarnięciem wspólną ideą wybranych doświadczeń artystycznych i cywilizacyjnych z różnych okresów rozwojowych sztuki.

Taką formułę artystyczną rozumie dziś Mackiewicz jako syntezę osiągnięć kulturalnych, syntezę opartą na ukształtowanych już i powszechnie znanych malarskich formach przedstawiania. Droga do tego punktu wiodła poprzez doświadczenia wyniesione z okresów, kiedy artysta tworzył w określonych stylach. A więc poprzez malarstwo futurystyczne, postimpresjonizm, ekspresjonizm, realizm propagandowy, abstrakcję (traktowaną marginesowo) i kolaże.

Pięć lat temu na warszawskiej wystawie „Dwadzieścia lat PRL, w twórczości plastycznej" wielkie zdziwienie i zaskoczenie wywarły dwa obrazy — „Wielka budowa" i „Przebudowa pejzażu" — będące „werystyczną rehabilitacją miejskiego pejzażu", jak je trafnie określił wówczas Zbigniew Klaczyński. Obrazy te, przynoszące wielki ładunek realistycznej afirmacji naszej cywilizacji, zwróciły uwagę publiczności świeżością artystyczną ujmowania tradycji i dnia dzisiejszego w rozumną jedność.

Autorem obrazów był nestor wystawy — Konstanty Mackiewicz. Stały się one zwiastunami malarstwa, które artysta miał w następnych latach poszerzyć i rozwinąć, malarstwa, które — z całą ostrożnością wobec tworzenia nowych definicji — nazwałbym realizmem historyczno-syntetycznym. Termin ten, myślę, najtrafniej określa istotę tej nie znajdującej nigdzie naśladowców sztuki.

Wielki obraz-poliptyk o nieregularnym kształcie. Główna część — to pejzaż wielkiego starego miasta, jakby połączenie Rzymu i Paryża, oddany z naturalistyczną dokładnością. Bazyliki, łuki triumfalne, termy, gotyckie katedry, panteony, odległe przedmieścia. I nagle ze środka tego godnego, leniwego tysiącletniego miasta wystrzela w niebo wielka maszyna-monstrum o czarnej metalicznej barwie. Dysonans form a jednocześnie wyraźny podziw dla współczesnej techniki łączą się w jedną całość. Tę wielką urbanistyczną kompozycję otaczają wokół dobudówki i pozostałe skrzydła obrazu. Dopiero one nadają właściwą treść obrazowi, tworzą wymowę dzieła. Są to fragmenty plastyki i architektury, znane z muzeów, widokówek, fotografii, podręczników i reprezentujące różne okresy historyczne — od starożytności po ostatnie dni. Razem z główną częścią stanowi to pulsującą kompozycję różnych planów, barw, reliefów i płaszczyzn, przywodzącą na myśl dadaistyczny wzorzec dzieła plastycznego. Tylko, że tu pierwiastki dadaizmu zostały poddane logicznej ideowej strukturze dzieła. Dysonanse ulegają wzajemnemu łagodzeniu.

Obraz nosi tytuł „Przedpiekle". Jest jeszcze nie ukończony. Ale obraz ten najpełniej i najtrafniej oddaje filozofię tej humanistycznej sztuki tak bardzo czułej na wartość wielowiekowych zdobyczy kulturalnych.

Już drugi rok maluje swoje „Przedpiekle" Konstanty Mackiewicz, poszukując ostatecznego kształtu dzieła.

Mówi Konstanty Mackiewicz:

— Problem postępu w sztuce sprowadza się dla mnie do rozważań w kategoriach moralnych. Rolą sztuki jest wstrząsnąć człowiekiem tak, aby stykając się np. ze złem, potrafił je właściwie ocenić. Tu — w nagłym zbliżeniu moralnej strony człowieka do dzieła sztuki, możemy najlepiej obserwować społeczną funkcję tej sztuki. Umiejętność prowokowania za pomocą obrazu do doskonalenia ludzkiej uczciwości — właśnie to najlepiej wskazuje czy jakiś twórca jest postępowy, czy nie. Postęp w nauce jest ewidentny i dokonuje się z każdym rokiem. Postęp w sztuce jest nieuchwytny i trudny do sprecyzowania. Jest jasne, że od pierwszych projektów latających Leonarda da Vinci, do współczesnej techniki rakietowej dokonał się ogromny postęp techniczny. Czy znaczy to jednak, że obecna sztuka jest bardziej postępowa od sztuki Renesansu, że jest od niej lepsza? Nie. To jest po prostu inna sztuka. Nauka i sztuka — to są dwie całkowicie różne od siebie płaszczyzny — nieprzystawalne i nieporównywalne. Dlatego nauka jest dźwignią cywilizacji, a sztuka — oczywiście pojęta bardzo szeroko — dźwignią kultury. I to nam powinno wystarczyć. Tymczasem nastąpiło zachwianie celów stawianych przed sztuką. Ostatnie lata pokazują, że twórcy nastawiają się na robienie wynalazków w sztuce, nie zdając sobie sprawy, że taka działalność nie jest sztuce właściwa. A przecież to nauka jest matką wynalazków, natomiast w sztuce — zarówno przed wiekami, jak i dziś — dokonywane były przede wszystkim o d k r y c i a. Więc taki podział powinien być nadal zachowany, bo skupianie energii na tworzeniu wynalazków wyjaławia humanistyczną funkcję sztuki, wpływa na rozproszenie intensywności i długotrwałości jej oddziaływania.

Jestem realistą, choć często odrywałem się od formy przedstawiającej. Dziś uważam, że najbliższy człowiekowi jest realizm zgodny z charakterem wzrokowego postrzegania, bo wynika on z zewnętrznego oglądu przedmiotu; wiedzę o przedmiocie, jego wnętrzu i fizykalnych właściwościach pozostawiam nauce. Te właściwości ujmie nauka zawsze lepiej niż najdoskonalszy plastyk. Czego innego szuka wiedza; czego innego sztuka.

W sztuce powinniśmy unikać szufladkowania. Jest ono wrogiem artystycznej odwagi. Obrzuca się artystów mianem epigonów tylko dlatego, że malują w określonej, ukształtowanej przez kogoś innego konwencji. Taki pogląd do niczego nie prowadzi. Inaczej musielibyśmy uznać za epigonów Rembrandta wielu wybitnych Holendrów tylko dlatego, że operowali podobnie jak on światłocieniem. Uważam, iż sztukę tworzy się po to, aby czerpali z niej inni, aby była skarbnicą wartości kulturalnych nie tylko dla biernych odbiorców, ale i dla przyszłych twórców. Te wartości potomkowie mają prawo eksploatować, bo jest to bogactwo naszej wspólnej kultury. Czerpanie ze spuścizny — twórcze czerpanie — to jakby gromadzenie wrażeń, bogacenie duchowe; rzeczą artysty jest wrażenia te porządkować. Jest to oczywiście tylko jedna z możliwych dróg. Nie krytykuję żadnej drogi twórczej i jestem wrogiem wszelkiego krytykanctwa. Pochopne ferowanie wyroków — to „dobre", to „złe" — stanowi często tragedię twórczości. Uważam — a nie chcę być pomówiony o idealizm — że krytyka powinna być w zasadzie pozytywna, piętnować powinno się rzeczy tylko krańcowo złe, destrukcyjne, ahumanistyczne. Nie mogę się nigdy zgodzić z przekreślaniem twórczości człowieka, który nigdy nie osiągnie wielkiej klasy, ale którego działalność spełnia przecież jakąś społecznie użyteczną rolę. Twórcę przed krytykiem powinna bronić szczera intencja.

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

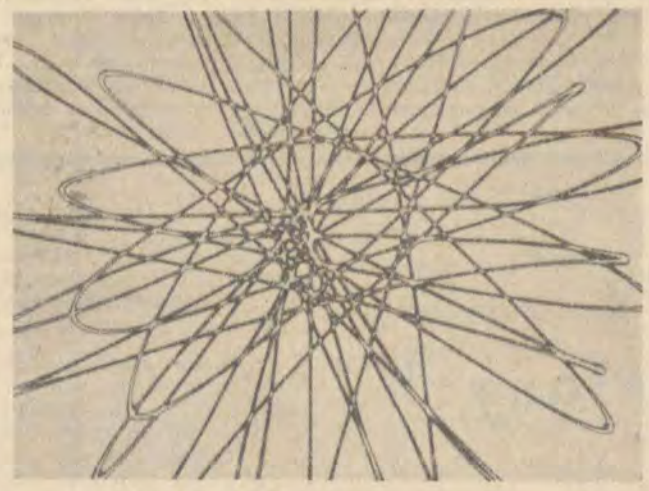

Półka z książkami

REMONT PEGAZÓW

Po „Poezjach bez granic" i „Kluczach do wyobraźni" wydał Jerzy Kwiatkowski nową pozycję, która jest zbiorem szkiców i felietonów odnoszących się do poezji lat sześćdziesiątych. Zresztą gros tych felietonów było drukowane w „Życiu Literackim" i większość czytelników zapewne doskonale je sobie przypomina. Jest więc w tym zbiorze materiał dotyczący głośnych już poetek i poetów, których debiut przypadł w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, jak i tych, którzy zadebiutowali jeszcze w okresie międzywojennym lecz w latach sześćdziesiątych osiągnęli dojrzałość poetyckiego wyrazu. A więc takie nazwiska jak Iwaszkiewicz, Jachimowicz, Kuśniewicz, Przyboś, Ożóg, Lec, Szymborska, J. M. Rymkiewicz, Bryll, Raszka, Urgacz i Kozioł wyraźnie określają charakter tej publikacji.

Poezja zawsze niepokoiła, stąd tak częste usiłowania by określić jej kształt i funkcjonalność, jej istotę i ją samą jako zjawisko częste a przecież każdorazowo inne, niepowtarzalne. Oczywiście na te pytania Kwiatkowski nie stara się odpowiedzieć, bowiem założenie felietonów jest zupełnie inne. Autor śledzi drogę twórczą poetów, ich rozwój, poddaje analizie filozoficzne założenia i koncepcje, drobiazgowo roztrząsa poszczególne wersety, by w konsekwencji dokonać ostatecznej klasyfikacji. Jest to próba, myślę, że udana, spojrzenia na polską poezję ostatnich lat, która przecież po „wybuchu" w latach pięćdziesiątych, przeżywa obecnie okres pewnego spokoju i stabilizacji. Jak pisze Kwiatkowski „Lata sześćdziesiąte, to — w tym kręgu — raczej okres przemodelowywania wzorca poezji niż okres poetyckich wydarzeń: nowych, wybitnych książek, nowych, wybitnych nazwisk".

E. I.

Jerzy Kwiatkowski: „Remont pegazów". Czytelnik. 1969. Stron 304. Cena 25 zł.

Zewsząd o wszystkim

Zbrojeniowe plany Japonii

„ECONOMIC REVIEW" — HONGKONG

Pomyślnie zakończone próby otrzymania plutonu wskazują, iż Japonia jest zdolna do produkcji bomby atomowej. Osiemnaście gramów plutonu, otrzymanego w instytucie badawczym energii atomowej postawiło ten kraj w rzędzie ośmiu członków „klubu atomowego', do którego już należą: Związek Radziecki, USA, Francja, Anglia, Belgia, Chiny i Indie.

Jednakże Japonia, jedyny kraj, który doświadczył na sobie potworności wybuchu bomby atomowej, zamierza wykorzystywać energię atomową wyłącznie do celów pokojowych. Zgodnie z japońsko-amerykańskim układem o wykorzystaniu energii atomowej, Stany Zjednoczone zobowiązały się dostarczyć Japonii, w ciągu najbliższych 30 lat, 160 ton wzbogaconego uranu dla 13 elektrowni atomowych. Niektóre z nich będą oddane do eksploatacji już w roku 1972. Ich ogólna moc wyniesie 6.672 megawaty. W przeciągu 30 lat zużyją one około 154 tony wzbogaconego uranu; pozostałych 6 ton wykorzysta się do badań naukowych.

Wydana w Japonii — trzy naście lat temu — ustawa o zastosowaniu energii atomowej, przewiduje wykorzystanie jej wyłącznie do celów pokojowych. Jednakże od momentu wybuchu pierwszej bomby atomowej w Chinach, w grudniu 1964 roku, w Japonii zaczęły się odzywać głosy, nawołujące do produkcji własnej broni nuklearnej. Te żądania zwolenników posiadania broni atomowej napotykają na zdecydowany opór japońskiej opinii publicznej. Naród japoński nie zapomniał sierpnia 1945 roku, kiedy to amerykańskie bomby atomowe, zrzucone na dwa miasta — Hiroszimę i Nagasaki spowodowały śmierć ponad 200 tysięcy Japończyków.

Te antyamerykańskie nastroje przybrały na sile w ub. roku, gdy podczas wizyty amerykańskiej łodzi podwodnej o napędzie atomowym w japońskim porcie Sasebo, stwierdzono tam wysoką radioaktywność. Chociaż nie była ona jeszcze groźna ani dla ludzkiego organizmu, ani dla flory i fauny morskiej, to jednak przekraczała normę aż dwudziestokrotnie.

Zdaniem grupy japońskich uczonych; którym zlecono wyjaśnienie tego zjawiska, wysoki wzrost radioaktywności spowodowało wyrzucenie do morza odchodów z chłodnicy łodzi podwodnej. W odpowiedzi na to oskarżenie, komisja do spraw energii atomowej USA złożyła oświadczenie, iż bawiąca z wizytą w Japonii wspomniana łódź podwodna o napędzie atomowym „nie wyrzuciła do morza ani grama odchodów"...

Godna uwagi jest reakcja prasy japońskiej na to wydarzenie. Oto każdego dnia, wszystkie największe gazety codzienne szczegółowo informowały opinię publiczną o przebiegu i wynikach dochodzenia, zamieszczały dane o systemach kontroli radioaktywności i wreszcie o interpelacji w parlamencie. W niektórych rejonach kraju, w których znajdują się bazy morskie USA, japońskie rady miejskie podjęły rezolucje, w których ostro protestowały przeciwko wizytom amerykańskich okrętów wojennych w japońskich portach.

W ciągu pierwszego dziesiątka lat po zakończeniu wojny, japońskie formacje samoobrony, tzw. „narodowe siły policyjne" pozostawały w cieniu licząc się z pacyfistycznymi nastrojami społeczeństwa. „Narodowe siły policyjne" pojawiły się na widowni w dwa miesiące po wybuchu wojny koreańskiej w roku 1950. Japonia znajdowała się wówczas nadal pod kontrolą generała MacArthura, dowódcy amerykańskich wojsk okupacyjnych. On to właśnie zapoczątkował odbudowę sił zbrojnych Japonii, gwałcąc w ten sposób 9 artykuł nowej konstytucji, w myśl którego Japonia wyrzeka się po wsze czasy sił zbrojnych w jakiejkolwiek formie.

Później rozgorzały w kraju zacięte spory o celowość odradzania militarnego potencjału Japonii. Partie prawicowe, które już od dwudziestu lat rządzą krajem, stanęły na stanowisku, iż powołanie do życia paramilitarnych formacji samoobrony nie jest sprzeczne z konstytucją, ponieważ — odżegnując się od wojny — nie neguje ona jednak prawa Japonii do samoobrony.

Tak, czy inaczej, japońskie formacje samoobrony przemieniły się dziś w jedną z większych machin wojennych w Azji. Bieżący, pięcioletni program zbrojeniowy na lata 1967—71 przewiduje zwiększenie armii do ok. 250 tys. ludzi. Otrzyma ona, jako uzupełnienie do posiadanych już dwóch formacji rakiet „Nike-Ajaks", jeszcze dwie typu ziemia-powietrze „Nike-Herkules" oraz dwie formacje rakiet „Hawk". Warto wspomnieć, iż zasięg rakiet „Nike-Herkules" wynosi 150 km. Mogą one przenosić ładunki bojowe na wysokości 30 kilometrów z szybkością 4 tys. km/godz.

W Japonii stworzono już także system wykrywania powietrznych środków napadu, a sieć 24 stacji radiolokacyjnych, których budowę zakończono w kwietniu 67 roku, kosztowała 25 i pół miliarda jenów. Olbrzymie centrum elektroniczno-obliczeniowe tego systemu jest zdolne koordynować działalność wszystkich środ-

WITALIJ SERDIUK

Możesz stłuc lampę...

1.

Borys leżał z otwartymi oczami. Należało zasnąć, ale sen nie przychodził. Lampa na słupie przed domem kołysała się, cieniutkie promyczki wyskakiwały niby grafity z automatycznego ołówka i znów chowały się za ścianę. Okno zapalało się i gasło.

„Wiatr" — pomyślał. Założył ręce pod głowę. Migocące światło przeszkadzało w myśleniu. Śledził wyskakujące promyczki i mimo woli powtarzał w myślach: „Raz... i raz, raz... i raz..."

Następnie usiłował opanować odrętwienie. Należało zasnąć. Odsunął się by nie oglądać lampy i zamknął oczy. Lecz wystarczyło opuścić powieki a myśli powracały do jutrzejszego finału. Wyobraził sobie przepełniony cyrk, wrzawę, biały ring na podwyższeniu, skrzynkę z kalafonią... Skurczył się, naprężył, jakby w tym momencie, w tej jednej minucie, gong miał go rzucić na środek jaskrawo oświetlonego kwadratu... Dwa lewe proste dla rozpoznania... Teraz wybrać najdogodniejszą pozycję. Oto, wydaje się, że przeciwnik sam się odsłonił... Seria: bach, bach, bach... Dwa proste na głowę, trzeci z dołu, w korpus...

Ciekawe, śpi czy nie śpi?

— Igor! — zawołał cicho.

Brat odezwał się nie od razu.

— Czego?

— Nie śpisz?

— Śpię.

Jest silniejszy ode mnie — rozmyślał Borys. — Ale ja jestem lepszy technicznie, szybszy... No i młodszy. A on przekroczył już trzydziestkę. Wyraźnie podupada. Nie tak dawno powiedział: ostatnie spotkanie, potem — żegnaj boksie. Przecież mogą go zamęczyć... O, nie tego pucharu tak łatwo mu nie oddam... Każdy inny, ale nie ten...

Okno zapalało się i gasło.

On pamięta ojca. Mówią, że Igor bardzo do niego podobny... Lecz czyż to powód by mu oddawać puchar? Tak samo jestem synem swego ojca... Jest silny jak byk, a mimo wszystko przekroczył trzydziestkę, nie wiele, lecz przecież przekroczył. Dla boksera wiek emerytalny...

Igor lubił spać z głową zwróconą ku oknu. Nie widział kołyszącej się lampy. W takt jej kiwania się drzwi rozjaśniały się i odchodziły w cień.

Ta jego Lenoczka to ładna dziewczyna... On z nimi potrafi. Za każdym razem na walki przyprowadza to tę, to inną. Ale boks — nie kobieca rzecz. Oczywiście, ta jutro także przyjdzie. A on zrobi wszystko, by mnie rozłożyć. — Igor przewrócił się z uśmiechem — on prawdopodobnie myśli, że to takie proste... Maluch!

— Posłuchaj — odezwał się do Borysa — a ty się nie boisz?

— Kolana mi się trzęsą.

— A ja się boję.

— Więc rzuć ręcznik...

— Daj spokój, Maluchu! — odpowiedział Igor obojętnie — boję się, że od jutra przestaniesz wyznaczać randki obok ringu.

— Czy nie zamierzasz przypadkiem...

— Zamierzam. Chcę naruszyć ci szczękę. To będzie, myślę bardzo śmieszne: przepiszą ci kaszkę mannę, która, takich jak ty czegoś tam uczy... A Lenoczka będzie musiała...

— Ech, ty...

— Dobrze już, dosyć... Wydaje mi się, że ojciec nie dopuściłby do tej walki.

— Ojciec był prawdziwym żołnierzem, a ty?...

— Dzięki! Nie wiedziałem o tym.

— Proszę bardzo — burknął Borys.

— Wiem na pewno, że ojciec nie zezwoliłby nam walczyć.

— Brednie.

— Smarkacz i młokos — rozzłościł się Igor.

— Przecież lubisz dzieci — uśmiechnął się brat.

— Śpij, — ugodowo powiedział starszy.

Lampa ciągle się kołysała i kołysała. Denerwowała i nie pozwalała zasnąć.

2.

Walki finałowe wyznaczono na szóstą wieczór.

Bracia przyszli do cyrku osobno.

W służbowych pomieszczeniach, nawet teraz, kiedy artyści dawno rozjechali się po skończonym sezonie, utrzymywał się trwały, niepokojąco ordynarny odór zwierząt. Ich klatki zostały rozmontowane i złożone wzdłuż ścian w korytarzach, przemieszane z jakimiś tarczami, podartym płótnem. Zwisające z góry trapezy i koła gimnastyczne wyglądały głupio, najprawdopodobniej dlatego, że pachniało nie salą sportową a cyrkiem...

W czasie walk wag lekkich, Igor i Borys rozgrzewali się. Lecz oto ktoś otworzył drzwi do garderoby i krzyknął:

— Jefremowowie na ring!

Ring był ustawiony na pomoście z desek, w centrum areny. Nad nim wisiało kilka lamp z płaskimi daszkami. A za tą ścianą światła, w zamglonym półmroku niespokojnie huczał i falował tłum.

By nie myśleć o walce, Igor zaczął liczyć rzędy. Naliczył 20, może 22... Pomylił się. A rzędy twarzy wspinały się w górę i w górę, pod samą kopułę.

Borys od razu odnalazł Lenoczkę. Siedziała w pierwszym rzędzie, lizała lody i mrużąc oczy od światła, spoglądała na ring. Pragnął by spojrzała na niego, wystarczy spojrzeć nieco w bok. Lecz ona odwróciła oczy od ringu i zaczęła kręcić głową, widocznie usiłując odnaleźć znajomych...

— Uwaga!

W wzmocnionych megafonach głos głównego sędziego wzleciał pod sam dach, chwilę miotał się i zamarł.

Powoli opadał zgiełk publiczności.

— Zanim przystąpimy do rozgrywki o główną nagrodę pamięci zasłużonego mistrza sportu Aleksieja Wasilijewicza Jefremowa pragniemy przypomnieć...

Cyrk zamarł.

Borys zauważył, że teraz Lenoczka patrzy na sędziego.

— Wielu pamięta, głównie ci, jak się to mówi, starzy kibice, jak doskonałym był on bokserem... Lecz Aleksiej Wasilijewicz był do tego dobrym kolegą, nauczycielem i prawdziwym patriotą... Kiedy wybuchła wojna, jako ochotnik zgłosił się na front...

Sędzia główny był widocznie wzruszony i mówił z trudem. Prawdopodobnie przemyślał wszystko, zanim jeszcze rozpoczęły się zawody, wszystko to co ma powiedzieć.

Było bardzo cicho.

... zginął w czterdziestym trzecim...

Z pierwszych rzędów ktoś wstał. I nagle cała ta masa ludzka nierówno zakołysała się i powstała. A w górze huczało powściągliwe: uuu....

Sędzia główny chwilę odczekał, usiłując opanować głos, obrzucił wzrokiem trybuny, w końcu ze wzruszeniem i zakłopotaniem powiedział:

— Dziękuję...

Trybuny siadły.

— Obecnie spotkają się dwaj bokserzy wagi półśredniej, tej wagi, w której walczył Aleksiej Wasilijewicz. Obaj zwyciężyli w walkach eliminacyjnych. To bracia Igor i Borys Jefremowowie, synowie zasłużonego mistrza sportu...

Nie pozwolono dokończyć. Sala wybuchła brawami.

Bracia stali na ringu w przeciwnych narożnikach, plecami do siebie i przytrzymując się lin, lekko podskakiwali, kiwaniem głów godząc się na rady sekundantów i czekali na gong.

Borys, choć młodszy od Igora, był wyższy, miał krótkie jasne włosy i postawę lekkoatlety. Prawdopodobnie dlatego szeroki w barach, muskularny Igor wydawał się w porównaniu z bratem niedźwiedziowaty.

Gong... W krótkim powitaniu zetknęły się rękawice...

Dwa lewe proste... Krok w tył... Znów do przodu...

Maluch szykuje serię — pomyślał Igor i lekko się odkrył — trzeba pomóc... Seria. Lecz sięgnąć Igora nie taka prosta sprawa. Broni się precyzyjnie, odskakuje...

Borys stara się nie oddać inicjatywy i nową serią sparaliżować oddech. Bo najważniejsze to oddech. Brat przekroczył trzydziestkę, więc złapać oddech nie będzie tak łatwo... Lekki i błyskawiczny atakuje, atakuje wspaniale. Lecz Igor robi nieoczekiwany unik. Korpus Borysa bez osłony... Moment i nastąpi cios, znakomity cios Igora Jefremowa, po którym tyle razy sędzia w ringu zaczynał liczenie...

— Maluch... — usłyszał Borys szept brata.

Odsłonił się! — przemknęło przez myśl Borysa.

Lecz sędziowie za stołem potrafili bezbłędnie ocenić sytuację. To ktoś z kibiców...

Lenoczka skończyła lody i wytarła palce w chusteczkę.

Za stołem szybka wymiana spojrzeń.

Na ringu walka.

Gong.

Sala huczy niby niespokojny rój.

Między linami przeciska się sędzia główny i uniósłszy rękę prosi o ciszę. Co się stało?

— Myślę, że podtrzymacie decyzję kolegium sędziowskiego o przerwaniu walki — uśmiecha się. — Będziemy ją uważać, w pewnym sensie, za symbol. Przecież obaj są Jefremowowie. Niechaj więc obu przypadnie ten puchar.

Burza oklasków.

Bracia spotykają się na środku ringu. Przyjmują puchar, obejmują się i tak przechodzą między linami.

— Maluch!

3.

Przed wyjściem z cyrku stała Lenoczka.

— Zaczekaj — rzucił Borys bratu i wziął dziewczynę pod rękę.

Igor nie czekał. Powoli poszedł chodnikiem. Nie obejrzał się ani razu. Nawet wówczas, kiedy usłyszał z tyłu przyspieszone kroki.

Długo szli w milczeniu. Wieczór był ciepły i łagodny. Przed domem Borys się zatrzymał.

— Chcesz, stłuczemy lampę? — zaproponował nagle.

— Po co? — zdumiał się Igor.

— Nie daje spać.

— Ale tylko w czasie burzy... Chodźmy — popchnął Borysa.

— Czekaj. Chcę ci powiedzieć... Tej nocy wyobrażałem sobie dzisiejszą walkę... Myślałem...

— Nie trzeba. A lampę... Jeśli chcesz, możesz ją stłuc....

Przełożył E. I.

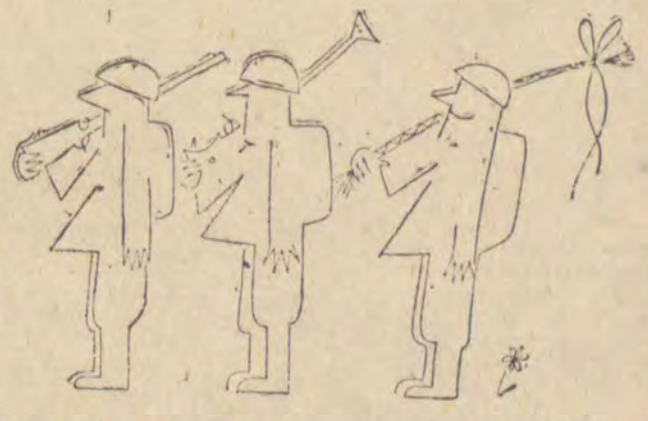

ków obrony przeciwlotniczej w kraju.

Znaczną część sprzętu zbrojeniowego wyprodukuje przemysł japoński. Gdy w roku 1950 Japonia przystępowała do odbudowy swego potencjału militarnego, jej przemysł wojenny był sparaliżowany. Środki produkcji broni były bądź zniszczone, bądź wywiezione przez Amerykanów. Wszelkie zamówienia wojskowe, z wyjątkiem umundurowania i butów wykonywały Stany Zjednoczone. Obecnie, z 234 miliardów jenów, przeznaczonych na wydatki wojskowe w planie na lata 1967—1971, większą część zagarną japońscy producenci broni. Warto wspomnieć, iż suma ta dwukrotnie przewyższa fundusze, przeznaczone na wydatki wojskowe w poprzednim planie pięcioletnim.

W czerwcu ubiegłego roku Japonia znów potwierdziła swą decyzję pozostania poza uzbrojeniem nuklearnym, przyłączając się do rezolucji o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Jednakże, jak to widać w świetle realizowanych planów zbrojeniowych, Japonia nader szybko powiększa swój potencjał wojenny, rezygnując jedynie z broni jądrowej.

Jeśli — choć wydaje się to dziś mało prawdopodobne — Japonia podejmie decyzję o utworzeniu własnego arsenału nuklearnego, to — mając także zaplecze naukowo-techniczne — będzie mogła zrealizować taki plan w stosunkowo krótkim czasie.

„Pan American" o TU-144

„NEW YORK TIMES" — NOWY JORK

„Po dokładnym obejrzeniu radzieckiego ponaddźwiękowego samolotu pasażerskiego TU-144, prezes kompanii lotniczej „Pan American Air ways", Hadżib Haliaby, oświadczył, iż transportowiec wywarł ogromne wrażenie zarówno na nim, jak i na towarzyszącej mu grupie ekspertów.

— Rosjanie — powiedział on — zrobili niewątpliwie wielki krok naprzód i osiągnęli więcej niż Anglicy i Francuzi ze swoim ponaddźwiękowcem „Concorde". Jest rzeczą bardzo ważną, iż TU-144 już wiele razy przekroczył barierę dźwięku i latał z szybkością do 900 mil na godzinę. „Concorde", jak się przypuszcza, osiągnie szybkość dźwięku dopiero za pół roku. Projektowany przez Amerykanów ponaddźwiękowy samolot transportowy — jak twierdzi H. Haliaby — jest opóźniony wobec TU-144 jakieś trzy, cztery lata.

Już w roku 1973, gdy rozpocznie się eksploatację radzieckiego transportowca — zauważył Haliaby — kompania „Pan American" może się znaleźć w niewygodnej pozycji z racji silnej konkurencji radzieckiej. Haliaby miał tu na myśli plany „Aerofłotu" użycia TU-144 na pasażerskich liniach lotniczych Moskwa — Nowy Jork i Moskwa — Tokio.

W toku wywiadu prasowego zapytano prezesa kompanii, czy „Pan American" nie zamierza zamówić w Związku Radzieckim ponaddźwiękowych samolotów, żeby uchronić się od strat w wyniku konkurencji.

— Panowie sięgają do sfery przypuszczeń — odpowiedział Haliaby. — Przed podjęciem jakiejkolwiek decyzji „Pan American" musi przestudiować wszystkie dane oraz wszystkie informacje, dotyczące pasażerskich samolotów ponaddźwiękowych. Byłoby nierozsądne wykluczać taką ewentualność, ale też nie można ręczyć, że je kupimy.

Radzieckie osobistości oficjalne, które nie ukrywają, iż chętnie widziałyby TU-144 na rynku światowym, dały H. Haliaby i jego doradcom możność szczegółowego zaznajomienia się z samolotem, jednakże nie zademonstrowały go w locie. Grupa amerykańskich specjalistów na czele z H. Haliaby, których podejmowali: minister przemysłu lotniczego P. W. Demientiew oraz minister lotnictwa cywilnego E. F. Łoginow, dokonała dokładnych oględzin wszystkich detali samolotu, stojącego na lotnisku międzynarodowego portu lotniczego Szeremietiewo.

H. Haliaby i pilot-oblatywacz kompanii „Pan American", kapitan Scott Flower, dokładnie obejrzeli kabinę pilota, zapoznali się z systemem sterowania i działaniem przyrządów pokładowych, rozmawiali z pierwszym pilotem TU-144 Edwardem Eljanem, który lata na tym samolocie od samego początku, tj. od 31 grudnia 1968 roku.

— Można było zadawać dowolne pytania i wymieniać opinie na tematy techniczne. Zrobili dla nas wszystko, co tylko można było zrobić — powiedział na konferencji prasowej H. Haliaby. — Powiedziano nam, że TU-144 będzie oddany do eksploatacji w końcu 1972 roku, lub na początku 1973. Zabiera na pokład 120 pasażerów i rozwija szybkość do 1600 mil na godzinę.

Zewsząd o wszystkim

TERESA WOJCIECHOWSKA

Muzyka w Łodzi

Początek sezonu

Łódzki sezon muzyczny trwa w pełni już od paru tygodni i — jak można sądzić — zapowiada się interesująco. Rzecz nie w tym oczywiście, że zaczął się paroma ciekawymi imprezami, że Teatr Wielki wystąpił z premierą baletową, że Filharmonia dała dwa bardzo ambitne i ciekawe koncerty, lecz w planach, w inicjatywach na przyszłość. Wszelkie inauguracje bywają na ogół ciekawe, gorzej natomiast z inicjatywami, z podejmowaniem prób wyjścia na krajowy rynek muzyczny.

Plany, z którymi zapoznały nas placówki muzyczne pozwalają mieć nadzieję, że passa bezwładu zostanie przełamana. Skromnie na razie, ale dobre i to. Być może rozwiną się z tego kiedyś imprezy o poważniejszej randze krajowej. W pierwszym rzędzie mam na myśli imprezę nienową, ale z roku na rok nabierającą znaczenia: Dni Muzyki Organowej. Odbywają się one w Łodzi od trzech lat pod patronatem Filharmonii i dotychczas obejmowały tylko recitale. W tym roku przekształcone zostały w Festiwal Muzyki Organowej i Oratoryjnej, który trwać będzie od 3 do 12 października. A więc, impreza zakrojona na znacznie szerszą skalę, obejmie trzy rodzaje koncertów: oratoryjne z udziałem orkiestry Filharmonii Łódzkiej, koncerty muzyki organowej i chóralnej a capella oraz, oczywiście, recitale organowe. Wystąpią w nich najlepsi soliści-organiści łódzcy i krajowi, a nawet jeden z za granicy (Irlandczyk — Gerard Gillen), znani wokaliści łódzcy i pozałódzcy, chór FL (nareszcie zawodowy!), chór akademicki Uniwersytetu Warszawskiego, chór PWSM w Łodzi i Zespół Wokalny Muzyki Dawnej łódzkiej Średniej Szkoły Muzycznej.

Nie mniej interesujący jest program Festiwalu. Od muzyki dawnej Bacha, Vivaldiego, Haendla, Scarlattiego, dawnych kompozytorów polskich: Mikołaja Gomółki, Wacława z Szamotuł i in. po muzykę nowszą i najnowszą francuską, angielską, a nawet utwory łódzkiego kompozytora Bernarda Pietrzaka. Trudno pokusić się tu o wymienienie wszystkich nazwisk kompozytorów i wykonawców, niewątpliwie jednak będzie to impreza ambitna i bardzo ciekawa.

Drugą inicjatywą, z jaką chce wystąpić Filharmonia Łódzka wraz z Wyższą Szkołą Muzyczną będzie Dekada Młodych Pianistów. Jest ona pomyślana dla uczczenia pierwszej rocznicy śmierci Władysława Kędry, znakomitego pianisty i pedagoga, łodzianina z pochodzenia, do ostatnich chwil życia związanego z tym miastem i działającego w nim. Dekada ta obejmie cztery wieczory recitali, dwa koncerty symfoniczne i koncert studentów byłych uczniów Władysława Kędry (niektórzy z nich stają do eliminacji Konkursu Chopinowskiego). Ta impreza ma również szanse rozwoju, świadczy o tym zainteresowanie w wielu ośrodkach muzycznych kraju. Jej celem jest danie szansy zaprezentowania się młodym pianistom, którzy ukończyli już studia, a jeszcze nie mieli okazji wybicia się, zdobycia sławy.

Konsekwentny kierunek „na balet" prowadzi Teatr Wielki. Z myślą o II Łódzkich Spotkaniach Baletowych, które mają się odbyć w maju przyszłego roku, z myślą o umiędzynarodowieniu tej imprezy, Teatr Wielki konsekwentnie przygotowuje publiczność łódzką do tej imprezy, prezentuje na swej scenie coraz to nowe zespoły baletowe. W przeciągu paru miesięcy oglądaliśmy w Łodzi balet gruziński, dzięki współpracy TW z Estradą Łódzką współczesny balet amerykański i francuski, z okazji Dekady Kultury Rosyjskiej odbędzie się w Teatrze Wielkim Wieczór Baletowy w wykonaniu znakomitych solistów baletu rosyjskiego z Mają Plisiecką na czele, którym akompaniować będzie nie mniej znakomita Orkiestra Filharmonii Leningradzkiej. Taki koncert odbędzie się tylko w Łodzi.

Sam Teatr Wielki zaś, wśród bogatych planów repertuarowych na najbliższą i nieco dalszą przyszłość („Faust" Gounoda, „Aida" Verdiego, „Orfeusz w piekle" Offenbacha) ma również pozycję taką jak „Królewna Śnieżka" — balet dla dzieci, wykonany przez dzieci z operowego studia baletowego — co czynione będzie z myślą o przyszłości łódzkiej sceny baletowej.

Na razie zaś Teatr Wielki szykuje się do występów (11 i 12 bm.) w Lipsku, na Festiwalu Teatralnym zorganizowanym z okazji 20-lecia NRD, a następnie na Festiwalu Oper i Baletów w Poznaniu. I w Lipsku i w Poznaniu TW pokaże „Tragedyję o Janie i Herodzie".

Jednego tylko nie możemy się od Teatru Wielkiego doczekać: wznowienia działalności kawiarnianej. Sympatyczne, popularne spotkania z artystami, solistami, realizatorami, były doskonałą formą popularyzacji sztuki operowej. Zaniechane w ubiegłym roku, mimo obietnic kierownictwa, nie zostały dotychczas wznowione choć należało się raczej spodziewać rozszerzenia tej formy popularyzacji o wprowadzenie artystów scen dramatycznych, niż jej zaprzestania.

Rozpoczęła rok akademicki Wyższa Szkoła Muzyczna. Opuścił swe stanowisko wieloletni, zasłużony dla uczelni jej rektor prof. Kiejstut Bacewicz, który pragnie poświęcić się pracy twórczej i pedagogicznej, jego miejsce zajął doc. Zenon Płoszaj. Jest w tym fakcie coś wymownego, symbolicznego niemal. Nowy rektor jest bowiem absolwentem łódzkiej WSM, ukończył studia z odznaczeniem w 1955 roku, a od 1957 rozpoczął w niej pracę pedagogiczną prowadząc równolegle działalność artystyczną. Laureat konkursów skrzypcowych, m. in. III Międzynarodowego Konkursu im. Wieniawskiego, w 1962 r. odbył 3-miesięczne tournee artystyczne po Japonii łącząc je z wykładami w tokijskiej Akademii Muzycznej na temat interpretacji muzyki polskiej. 4-miesięczny pobyt stypendialny w Konserwatorium Moskiewskim potraktował nie tylko jako okazję do doskonalenia własnego warsztatu, ale również jako szansę wzbogacenia wiedzy i doświadczeń pedagogicznych. Pobyt w Moskwie zaważył dostatecznie na decyzji: przede wszystkim praca pedagogiczna. Nie porzucając działalności artystycznej (nagrania, współpraca z Filharmonią) prowadzi nieprzerwanie pracę pedagogiczną w WSM i Liceum im. Wieniawskiego.

Nowy rektor WSM nie tylko jest więc jej wychowankiem i absolwentem, ale nigdy nie stracił z nią kontaktu, zna jej problemy i potrzeby. A stanowisko to objął w momencie dość trudnym. W tym roku akademickim rozpoczyna pracę nowy wydział WSM — wokalno-aktorski. Jest to jedyny tego typu wydział w Polsce, stworzony po raz pierwszy, a więc eksperymentalny. Będzie on kształcić śpiewaków-solistów dla scen muzycznych. Jest ten fakt dla Łodzi istotny szczególnie ze względu na potrzeby Teatru Wielkiego. Studia będą trwać 6 lat, będą obejmować dużą ilość przedmiotów praktycznych, będą trudne również dla organizatorów, ze względu na różny stopień przygotowania muzycznego słuchaczy. Zainteresowanie tym kierunkiem studiów było duże w całym kraju. Dość powiedzieć, że w drugim terminie na 6 miejsc zgłosiło się 81 kandydatów. Ostatecznie na I rok przyjęto 20 osób.

Zaszczytne to wyróżnienie dla Łodzi — powierzenie jej takiego wydziału, ale za 6 lat uczelnia powiększy się o 120 studentów, czyli będzie większa o 1/3 niż dotychczas. A już obecnie w szkole panuje ciasnota. Tymczasem nowy wydział będzie wymagał poza miejscem na normalne zajęcia muzyczne, sal na zajęcia sceniczne, ruchowe itd. Sprawa lokalowej ciasnoty uczelni coraz pilniej wymaga rozwiązania. W tym muszą dopomóc władze miasta.

Nowy rektor doc. Zenon Płoszaj mówi: „Wyższa Szkoła Muzyczna w Łodzi osiągnęła wysoką pozycję, liczy się w kraju i dziś przede wszystkim chodzi o to, by tę pozycję utrzymała, umocniła".

Wszystko na to wskazuje i ten optymistyczny wniosek pasuje mi do dzisiejszego felietonu.

Fot. J. Neugebauer

TELEOBIEKTYW

Playboy czyli wesołek

Szczeciński Ośrodek TV wszedł do telewizyjnej rodziny stosunkowo późno. Dopiero od paru lat stał się pełnosprawnym źródłem programowym. Skutki opóźnionego startu trudno wyrównać. Nowosza w Atenach kosztowało to utratę medalu na setkę. Telewizja Kraków mimo świetnych warunków technicznych, wciąż jeszcze kuleje w sensie programowym.

A Szczecin? Szczecin nie posiada chyba kompleksu niższości wobec bardziej doświadczonych ośrodków. Coraz pewniej i coraz śmielej wkracza na antenę ogólnopolską. Trzeba to podkreślić, że w dziedzinie teatru TV ten właśnie ośrodek wykazuje ostatnio wiele inwencji, że wymienię choćby interesujący cykl adaptacji powieści i opowiadań Conrada.

19 września Szczecin nadał sztukę irlandzkiego pisarza Johna Milingtona Synge'a „Playboy zachodniego świata" w nowym przekładzie Cecylii Wojewody i w reżyserii Jana Maciejowskiego (już ex-szczecinianina, oj, ta Warszawa!). Playboy? Słowo to stało się ostatnio modne i u nas, nabrało szczególnych znaczeń. A dosłownie? Dykcjonarz angielsko-polski Fundacji Kościuszkowskiej tłumaczy playboya francuskim idiomem bon vivant, a więc człowiek lubiący się bawić, używać życia, lekkoduch, wesołek.

Wesołek. Właśnie pod tym tytułem „Wesołek zachodniego świata" grano sztukę Synge'a w Nowej Hucie mniej więcej przed dziesięciu laty. Ale wówczas słowo playboy nie rozpowszechniło się jeszcze w naszym kraju, z niczym się nie kojarzyło.

Synge, obok Yeatsa i O'Caseya, reprezentuje okres odrodzenia literatury irlandzkiej, w którym ostro atakuje się zacofanie i obskurantyzm krzewiący się wówczas szeroko wśród Irlandczyków. Ciemnota, analfabetyzm, zabobon i klerykalizm, to były zdaniem światłej elity czynniki hamujące dojrzewanie Irlandii do samodzielnego bytu państwowego.

Ale wracając do Synge'a! Jego playboy to przygłupi wiejski parobek, który w kłótni wyrżnął ojca łopatą w głowę i w obawie, że go zabił włóczy się po okolicy. I oto rzekome zabójstwo, jakie chłopak ma na sumieniu, miast budzić odrazę i potępienie, wywołuje u ciemnych chłopów podziw, a u dziewczyn wiejskich wręcz erotyczne podniecenie. Nie rozumieją, że ów imponujący im playboy jest tylko nędznym pajacem i matołkiem.

Świetna kpina z ciemnoty i kultu występku, zawarta w sztuce Synge'a, adresowana swego czasu do rzeczywistej sytuacji wsi irlandzkiej, nabiera współcześnie nowego sensu. Czyż w zachodnim świecie nie pleni się dziś także — tyle że na wysokim szczeblu cywilizacji i wyrafinowanej nieraz formy artystycznej — podziw dla brutalności i występku? Czy komiksowa kultura z Jamesem Bondem i Barbarellą, w której seks, gwałt, sadyzm, narkomania zyskały prawo obywatelstwa, nie tworzy na użytek młodzieży nowego typu bohatera — właśnie playboya wyzwolonego z hamulców moralnych, szukającego jedynie zaspokojenia swych niewybrednych zachcianek?

W tym kontekście komedia Synge'a przestaje być bezinteresowną zabawą, a jej bohater urasta do postaci groźnej. Uważam więc, że i wybór sztuki Synge'a przez Teatr Telewizji Szczecińskiej nie jest, jak chce tego sprawozdawca telewizyjny „Życia Warszawy", jedynie ciekawostką repertuarową. „Playboy" Synge'a ma po sześćdziesięciu latach, w całkiem odmiennych warunkach, wyraźną wymowę dydaktyczną. Problematyka jego jest nieobojętna i dla nas, gdyż pewne kręgi naszej młodzieży nie są wolne od wpływów plejbojowskich ideałów.

Przedstawienie „Playboya" w Telewizji Szczecińskiej zaliczyłbym do najciekawszych spektakli teatralnych, jakie mieliśmy możność oglądać ostatnio na małym ekranie. Przyczyniło się do tego doskonałe prowadzenie aktorów przez reżysera i dobra gra, zwłaszcza, wykonawcy tytułowej roli Włodzimierza Bednarskiego, a także Marii Chwalibóg i Danuty Chudzianki.

I tu muszę znowu nie zgodzić się ze sprawozdawcą „Życia", który ma stałą skłonność do „ulgowego" traktowania spektakli prowincjonalnych (pisałem już o tym kiedyś w związku z Telewizyjnym Festiwalem Teatrów Dramatycznych). Oceniając przedstawienie jako „w jakiejś mierze interesujące" stwierdza, że „mogło być lepsze (każde przedstawienie mogłoby teoretycznie być lepsze — WO), bardziej zwarte, jędrniejsze".(?)

Notatka w „Ż W." kończy się zdaniem: „Poziom gry był zresztą dość wyrównany, co też jest miłym zaskoczeniem". No, tak! Wyrównany poziom gry aktorskiej poza stolicą musi aż zaskakiwać!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Amatorzy wielkich, filmowych widowisk i mocnych wrażeń z satysfakcją obejrzą „BUNT NA „BOUNTY" w reżyserii L. Milestone'a. Oglądany obecnie film nie jest jedyną kinową wersją opowieści o zbuntowanej załodze „Bounty". Wokół historycznych wydarzeń z roku 1789 narosła cała legenda, w której mieli też swój udział liczni pisarze. Film o „Bounty" powstał już w 1935 roku, a udział w nim brali Ch. Laughton i C. Gable. W tych samych rolach oglądamy dziś w filmie Milestone'a, T. Hovarda i M. Brando.

Trudno dziwić się, iż dzieje buntu na „Bounty" frapowały ludzi pióra a potem kamery, historia jego jest niezwykła a bohaterowie interesujący. Bunt marynarzy miał miejsce na statku, który w 1789 roku wypłynął z angielskiego portu celem przywiezienia z Tahiti sadzonek drzewa chlebowego, które miało Królestwu przynieść ogromne oszczędności finansowe wówczas, gdy okaże się tanim pokarmem dla murzyńskich niewolników.

Ta kupiecko-ogrodnicza wyprawa dla załogi żaglowca stała się rejsem pełnym grozy i nieszczęść, których okupić nie mogły nawet pełne szczęśliwości chwile spędzone wśród pięknych i hojnych córek Tahiti. Przyczyną buntu stał się kapitan Bligh, bezwzględny i sadystyczny dowódca. Okrucieństwo kapitana doprowadziło do buntu, na czele którego stanął młody oficer — dżentelmen Christian.

Nietrudno przewidzieć, że w przedstawieniu tych zdarzeń realizatorzy filmu postawili głównie na dwie sprawy — obrazy męskiej walki załogi statku z żywiołem oceanów i rysunek postaci dwu głównych antagonistów Bligha i Christiana. Przyznać należy, że zamierzenia zostały uwieńczone znacznym sukcesem. Jest w filmie wiele scen wspaniałych, morskie sekwencje żeglugi, przebytych sztormów czy płonącego statku zrealizowano nie tylko z rozmachem, ale i z dużym smakiem. Nie można tego niestety powiedzieć o tahitańskiej sekwencji, która w tym mocnym, męskim filmie jest mdławym, banalnym wtrętem (uczciwie tu zaznaczmy, że bohaterowie filmu byli na pewno innego zdania).

Nie dane nam było widzieć jak Laughton i Gable wcielali się w role Bligha i Christiana lecz interpretacje Hovarda i Brando zaspokajają nas w pełni. Pierwszy prowadzi postać kapitana z żelazną konsekwencją, uchylając powoli wszystkie zakamarki jego odrażającej natury. Drugi z znakomitym wyczuciem rysuje sylwetkę marynarza i arystokraty w jednej osobie. Można Marlona Brando nie cierpieć, bywa aktorem manierycznym lecz jest aktorem inteligentnym, czego niezaprzeczalne dowody daje w „Buncie na „Bounty".

Gdy mamy jeszcze w pamięci znakomitego „Billy Budda" P. Ustinowa, którego niektóre motywy odnajdujemy w filmie Milestone'a, trzeba trochę żałować, że dobre aktorstwo „Buntu" znakomita w wielu momentach realizacja, świetna praca operatora musiała się niemal nieuchronnie rozpłynąć w sosie z etykietą „Hollywood".

* * *

O ile w przypadku „Buntu na „Bounty" można sobie pozwolić na narzekania, to wobec „MILIONA LAT PRZED NASZĄ ERĄ", człek staje zupełnie bezradny. Żadnych bowiem kryteriów brać pod uwagę tu już nie można. Uratować nas może tylko pełna pogoda ducha pozwalająca pomysł filmu przyjąć jako żart, a całość jako zabawę.

Są tematy, do których się powraca. „Milion lat przed naszą erą" jest podobnie jak wspomniany wyżej „Bunt na „Bounty" nową wersją amerykańskiego filmu, który wszedł na ekrany w 1940 r. Zadziwia upór, z którym realizatorzy powracają do pewnych tematów, bądź upór publiczności, która takie rzeczy lubi, boć przecież dla niej się je robi.

Film Chaffeya powstał w Anglii w wytwórni specjalizującej się w filmach fantastycznych i niesamowitych. Bogata to wytwórnia, co widać po „Milionie lat przed naszą erą". Wykorzystano przy realizacji tego filmu przeróżne cuda kinowej techniki. Powołano do życia prehistoryczne stwory, które chodzą i pływają, walczą i umierają, a nade wszystko żałośnie obnoszą swe techniczno-atelierowe pochodzenie. Wyczarowano tekturowe wulkany i skały, po czym pozwolono nam uczestniczyć w gigantycznym trzęsieniu ziemi w czasie którego, przyznać trzeba, wali się ten tekturowy świat efektownie i z ogromnym rozmachem.

W księżycowym krajobrazie, wśród brontozaurów, tricateropów etc. żyją plemiona naszych praprzodków, na przykładzie których, ilustruje się porażonemu widzowi dzieje rozwoju cywilizacji ludzkiej. Jako odtrutkę przeciwdinozaurową podali twórcy biednym widzom, a zwłaszcza męskiej ich połowie, prześliczne kształty eksportowej sex-gwiazdy Hollywoodu Racheli Walch. Pozwala ona wierzyć, że życie milion lat przed naszą erą nie zawsze bywało tak ciężkie. Zgodnie z „historyczną prawdą" pokazani bohaterowie nie mówią jeszcze ludzką mową. Słyszymy zatem tylko nieartykułowane dźwięki, odgłosy walki, wycia prehistorycznych potworów, huki walących się skał, no i, by sercu było milej, liryczną muzykę, gdy w kadrze zjawia się para zakochanych w sobie naszych praprzodków. Nic tu dodać, nic ująć.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Portret cesarza Japonii z XIV wieku

WYSTAWA SZTUKI JAPOŃSKIEJ

30 sierpnia w Zurychu japoński książe Takamatsu, brat cesarza Japonii otworzył uroczyście wielką wystawę sztuki japońskiej. Jest to druga tego rodzaju wystawa w Europie po wojnie, bowiem w latach 1958—1959 ekspozycja pod nazwą „Sztuka japońska poprzez wieki" organizowana była kolejno w Paryżu, La Haye (Holandia) i w Rzymie.

Obecna wystawa w Zurychu gromadzi eksponaty starej sztuki japońskiej. Współczesne malarstwo nie jest na niej reprezentowane.

Eksponaty w większości są arcydziełami po raz pierwszy pokazanymi na naszym kontynencie. Są to terakoty z czasu od VII w. p.n.e. do VII w n.e., obrazy, rzeźby buddyjskie z wieków od VII do XI n.e., kaligrafie, maski i kostiumy teatru japońskiego, naprzeróżniejsze wyroby ceramiczne.

Przedmioty tego rodzaju — jak twierdzi szwajcarskie pismo „Journal de Geneve" — możemy poznać z opisów zawartych w książce znanego pisarza japońskiego, laureata nagrody Nobla z r. 1968, Yasunari Kawabaty. Niektóre fragmenty jego powieści pt. „Tysiąc żurawi" są jak twierdzi recenzent z „Journal de Geneve", prawdziwą pieśnią pochwalną na cześć arcydzieł starej sztuki japońskiej, a „Tysiąc żurawi" mogłoby stanowić niejako przewodnik po wystawie zurychskiej. Kawabata jest wielkim miłośnikiem japońskiej sztuki i jej kolekcjonerem.

MUZEUM GOYI KOŁO SARAGOSSY

W miejscowości Fuendetodos koło Saragossy w Hiszpanii zachował się dom, w którym urodził się wielki malarz hiszpański Francisco de Goya (1746—1828).

Obecnie budynek ten jest gruntownie restaurowany. W odnowionym domu Goyi urządzone zostanie muzeum poświęcone jego twórczości oraz mieścić się ma szkoła plastyczna.

PIERWSZY ŚWIATOWY FESTIWAL PANTOMIMY

Pierwszy światowy festiwal pantomimy, w którym wzięli udział aktorzy mimiczni z ośmiu krajów, został zainaugurowany w Kolinie, małym miasteczku położonym o ok. pięćdziesiąt kilometrów od stolicy Czechosłowacji, Pragi. W miejscowości tej urodził się w roku 1796 światowej sławy aktor pantomimiczny Jean-Gaspard (Jan Kaspar) Deburau. Ku czci tego artysty przed miejskim ratuszem w Kolinie zostało uroczyście odsłonięte popiersie Deburau, dzieło rzeźbiarza Jana Pichela. W uroczystości wziął udział m. in. słynny francuski aktor mimiczny, Marcel Marceau, który w ramach festiwalu wystąpił na estradach kilku miast Czechosłowacji.

SZEKSPIR WIECZNIE AKTUALNY

Theatre de l'Ouest Parisien zaczyna swój sezon pod znakiem Szekspira. Pierwszą sztuką ma być „Burza". Będzie to jednak Szekspir uwspółcześniony, mianowicie Aime Cesaire na podstawie dzieła szekspirowskiego stworzył sztukę na wskroś aktualną traktującą o problemach rasizmu i kolonializmu.

Przypomnijmy, że Aime Cesaire jest poetą murzyńskim piszącym po francusku. Urodził się na Martynice w roku 1913. Studiował w Paryżu. Przez jakiś czas był deputowanym w parlamencie francuskim z ramienia Komunistycznej Partii Francji. Swym piórem walczy od lat z kolonializmem. Wydał kilka tomów wierszy m. in. „Dziennik powrotu do kraju rodzinnego", „Słońce szyja ucięta", „Stracone ciało" i esej pt. „Rozprawa o kolonializmie".

5 października Theatre de l'Ouest Parisien wystawi sztukę „Romeo i Julia" w reżyserii młodego (21 lat) Denisa Llorca. Tragedia grana będzie w historycznych kostiumach, a reżyser z wielkim szacunkiem odnosi się do szekspirowskiego tekstu.

DALI I „ALICJA W KRAINIE CZARÓW"

W najbliższym czasie ma się ukazać w Ameryce książka, której egzemplarz kosztować ma 375 dolarów. Pomimo tej ceny, na książkę tę wpływa taka masa zamówień, że musiano ograniczyć ich liczbę. Chodzi tu o „Alicję w krainie czarów" Lewisa Carroll ilustrowaną przez Salvadora Dali. Dali zilustrował każdy z dwunastu rozdziałów książki.

DZIEŁA NA TEMAT PRACY I ŻYCIA ROBOTNIKÓW

W dniach 5 do 20 października w paryskim muzeum Galliera zostanie otwarta wystawa współczesnego malarstwa i rzeźby o tematyce pracy i życia robotników.

WIELKA WYSTAWA FOWISTÓW W BELGII

W Malines, w Belgii otwarta została wystawa fowistów, na której zgromadzono ok. 100 płócien pięćdziesięciu malarzy-fowistów z 11 krajów. Obrazy będące na wystawie wypożyczono z 27 muzeów europejskich.

WYŁĄCZNIE DLA SAMOCHODZIARZY

Georges de Caunes napisał książkę pt. „Otomobiles" przeznaczoną wyłącznie dla automobilistów denerwujących się stratą czasu podczas przymusowych postojów na skutek „korków" na szosach. Książka drukowana jest dużą czcionką i na każdej stronie zaopatrzona w rysunek.

Siergiej Sołowiew: „Dwoje"

WYSTAWA APN

Corocznie w Moskwie odbywają się setki wernisaży, a wśród nich wystawy fotograficzne zajmują pokaźne miejsce. Fotografia nie posiada własnej muzy i musiała długo i uporczywie walczyć o to, aby zaliczono ją wreszcie do dziedziny sztuki. Wystawy prac fotograficznych przyciągają nie mniej widzów niż wystawy malarstwa i rzeźby — czytamy w ostatnim numerze radzieckiego magazynu „Sputnik".

W Agencji Prasowej Nowin (Agientstwo Pieczati Nowosti) pracuje dużo znakomitych fotoreporterów. Wśród nich są przedstawiciele starszego pokolenia, ludzie którzy słusznie uważają się za pionierów radzieckiej fotografiki. Większość jednak fotokorespondentów Agencji to ludzie młodzi, lecz utalentowani fotograficy.

Co roku APN urządza wystawę najlepszych prac swych fotokorespondentów, a ekspozycje te budzą ogromne zainteresowanie.

POLONICA

PLAGIAT Z GDAŃSZCZANINA

Axel Springer, szef reakcyjnego koncernu prasowego w NRF, padł ofiarą dość zabawnej choć kosztownej pomyłki. Oto za okrągłą sumę 80 tysięcy marek zakupił 47 barwnych szkiców przedstawiających życie prywatne króla pruskiego Fryderyka II. Jako autor tych prac podpisany został gdańszczanin, głośny ilustrator polskiego pochodzenia, Daniel Chodowiecki (1726—1801).

Springer wystawił swój nabytek w „Berliner-Museum", ale zamiast spodziewanych pochwał, najadł się wstydu. Ekspert Kurt Pomplun oświadczył, że ryciny wyszły spod ręki Richarda Knotela i są zaledwie plagiatem szkiców Chodowieckiego. Ów Knotel wraz z Carlem Rochlingem wydał w r. 1895 „prusacką biblię" pn. „Stary Fryc w 50 obrazkach dla młodych i starych".

O POLSKIEJ KINEMATOGRAFII

„Inostrannaja Litieratura" zamieściła w siódmym zeszycie obszerny szkic krytyczny I. Rubanowej poświęcony tendencjom w polskim filmie fabularnym od przełomu październikowego w r. 1956 po ostatnie dni. Artykuł napisany z dużym znawstwem przedmiotu przypomina o kamieniach milowych współczesnego polskiego kina jakimi są filmy: „Popiół i diament", „Kanał", „Eroica", „Pasażerka". Autorka analizuje najnowsze próby polskiej kinematografii, aby dojść do wniosku, że „tylko przetworzona w formę myśl posiada siłę oddziaływania i przeobrażania ludzkiej psychiki. Polski wariant daje materiały do rozmyślań na ten temat."

I. Rubanowa sporo uwagi poświęciła w swoim szkicu sprawie dosyć wstydliwej, a mianowicie współpracy pisarzy z filmem. Przeciwstawiając się bardzo rozpowszechnionemu mitowi filmów autorskich radziecki krytyk filmowy przypomina, że film nie może być wielki bez pomocy literatury.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

„Słownik języka polskiego", fundamentalne jedenastotomowe dzieło pod redakcją profesora Witolda Doroszewskiego, wzbudza zrozumiałe zainteresowanie za granicą wśród tłumaczy z języka polskiego. Nic też dziwnego, że miesięcznik „Inostrannaja Litieratura" poświęcony w całości przekładom literatury światowej na rosyjski, zamieścił na swoich łamach informację o zakończeniu w Polsce prac nad tym słownikiem. Czasopismo podaje, że jest to trzecie tego rodzaju opracowanie w naszym kraju na przestrzeni 160 lat i zawiera 124300 słów, z których piątą część stanowią neologizmy nie figurujące w poprzednich słownikach. „Inostrannaja Litieratura" informuje dalej, że bogate archiwum leksykograficzne składające się z 6,5 miliona cytatów, które stanowiło podstawę opracowania, zostało udostępnione zainteresowanym slawistom z licznych krajów europejskich.

K. F.

Od niedzieli do niedzieli

PRZED SESJĄ

„ZJAZD KSIĄŻĄT KULTURY" — KILOGRAM OSIĄGNIĘĆ — KIEDY BĘDZIE GALERIA? — SKANSEN W „BIAŁEJ FABRYCE" — DYSKUSJA NA NOŻE... — ZEGAREK Z WODOTRYSKIEM?

Przewiduję, że dyskusja pójdzie „na noże"... Że włodarzom od kultury, sukmany, być może poszarpią, że słowo padnie ciężkie niejedno... W połowie października łódzka Rada Narodowa obradować będzie nad sprawami kultury. A czas już wielki, bo na tym forum nad kulturą nie radzono od lat bez mała siedmiu.

Więc echo niesie odgłosy przygotowań wśród działaczy kultury i wśród urzędników od kultury. Pewnego wieczoru odbył się nawet „Pierwszy Zjazd Łódzkich Książąt Kultury" — czyli kierowników dzielnicowych referatów. Zaprosił ich do siebie znany działacz TPŁ i członek Komisji Kultury, tudzież przewodnik po Łodzi, obrońca jej zabytków i kronikarz tradycji... słowem Zdzisław Konicki. Dawno już mrok okrył okoliczne bloki na Kuraku a w mieszkaniu Konickiego trwała zażarta dyskusja. Strach pomyśleć co to będzie na sesji.

Wydział Kultury też się przygotował. Sam tekst referatu łącznie z tabelami statystycznymi waży dobrze ponad kilogram, ale też jest w nim przegląd kulturalnych osiągnięć Łodzi od roku 1945. Mógłbym oczywiście całymi garściami cytować owe wskaźniki, cyfry i procenty. Felieton jednak nie laurka, ani list pochwalny, więc może warto parę słów o sprawach w referacie przemilczanych.

A zatem sprawa galerii sztuki. Problem przyzwoitych warunków dla eksponowania plastyki jest w Łodzi podnoszony od lat. W roku 1966 odbywało się kolegium Ministerstwa Kultury, na którym z ust ministerialnych padły słowa: „galeria jest obecnie dla Łodzi jedną z najpilniejszych potrzeb". Oczywiście wiemy o tym od lat — ale co z tego? Pierwsze dyskusje i pierwsze projekty łódzkiej galerii miały miejsce przed prawie dwudziestu laty. Uprzejmie zatem przypominam, że budowa galerii sztuki znajduje się w programie wyborczym FJN — programie bieżącej kadencji Rady Narodowej. Jest to, jak sądzę, dokument, który należy traktować poważnie.

W geyerowskiej „Białej Fabryce" mieści się jak wiadomo Muzeum Historii Włókiennictwa. Przed paroma laty głośno było w Łodzi na temat budowy nad stawem za Muzeum — włókniarskiego skansenu. Potem wszystko ucichło. Co zatem postanowiono? Jak wygląda ta sprawa? Skoro mamy jedyne w Europie muzeum tego rodzaju czy nie stać nas na to, aby dać mu pełną oprawę?

Nie mam nic przeciwko temu, aby sesja Rady Narodowej poświęcona polityce kulturalnej była swego rodzaju uroczystą galówką. Upoważnia do tego zarówno ćwierćwiecze Polski Ludowej jak i bezsporne osiągnięcia w dziedzinie kultury, jakie możemy odnotować w Łodzi. Ale myślę, że byłoby bardzo źle gdyby ta — pierwsza od siedmiu lat — sesja „kulturalna" przerodziła się wyłącznie w uroczystą akademię. Wydaje mi się zresztą, że nie jestem w tym przekonaniu odosobniony. Można i trzeba chwalić się dokonaniami, ale będzie to czynność mało konstruktywna jeśli równocześnie nie porozmawiamy sobie o tym czego nam jeszcze trzeba, jeśli nie zastanowimy się w kompetentnym gronie radnych co i jak przedsięwziąć, aby zamierzenia i kierunki polityki kulturalnej w Łodzi były prawidłowe, celowe i realne.

Takiej właśnie rzeczowej, roboczej dyskusji spodziewają się łódzcy działacze kultury na październikowej sesji. A jeśli spodziewają się to — oczywiście — do takiej dyskusji dojdzie, bo przecież kierunek i ton dyskusji zależy od dyskutantów — od działaczy kulturalnych. Dlatego właśnie napisałem na wstępie, że przewiduję iż „dyskusja pójdzie na noże..." Pod tym określeniem rozumiem, że będzie ostra, zaangażowana — niech by nawet kontrowersyjna. Byle nie letnia, byle nie sprawozdawczo-urzędnicza.

Oczywiście zrobiliśmy przez te lata bardzo wiele. Teatr Wielki, Operetka, rozbudowa Biblioteki im. Waryńskiego, domy kultury, sieć bibliotek rejonowych... Mamy w teatrach stosunkowo najwyższą frekwencję w kraju, dziesiątki wystaw oglądanych rocznie przez prawie 150 tysięcy osób, żywą działalność towarzystw kulturalnych. Jest tego wiele i nie dziwię się, że referat Wydziału Kultury waży ponad kilogram.

Ale rosną apetyty, rośnie poziom kulturalny społeczeństwa, rośnie ogólny poziom wykształcenia, następują przemiany w strukturze urbanistycznej i społecznej Łodzi. To wszystko sprawia, że potrzeby kulturalne miasta stają się z roku na rok większe. I dlatego głośniejsze i bardziej natarczywe wołanie działaczy nie jest wołaniem o przysłowiowy „zegarek z wodotryskiem", ale jest świadectwem rosnących ambicji kulturalnych miasta.

Oczekuję z nadzieją na takie właśnie, pełne pasji i zaangażowania wołanie o galerię, o skansen, o szersze udostępnienie fabrycznych klubów i świetlic, o te wszystkie nie załatwione dotąd sprawy... Oczekuję na takie wołanie w dostojnej sali obrad Rady Narodowej miasta Łodzi.

JERZY WIDOK

AGATA CHRISTIE

Zbrodnia w Kornwalii

— Przyszła pani Pengelley — oznajmiła gosposia i dyskretnie wycofała się do kuchni.

Pan Poirot zobaczył w drzwiach szczupłą kobietę lat około pięćdziesięciu, trochę dziwacznie ubraną. Przywitał ją serdecznie.

— Madame, proszę siadać. Przedstawiam pani mego kolegę, kapitana Hastingsa.

Kobieta wyszeptała: — Przepraszam, czy pan jest prywatnym detektywem Herkulesem Poirot?

— Tak, służę pani, madame. Czy mogę coś dla pani uczynić?

Interesantka usiłowała opanować zdenerwowanie. — Przyszłam tutaj, gdyż nie chcę mieć do czynienia z policją. Boję się także plotek i publikacji w prasie. Jestem bardzo niespokojna. Nie mogę się uwolnić od pewnej myśli. Może niesłusznie myślę tak o Edwardzie...

— Przepraszam, czy pani mówi o swoim mężu?

— Tak.

— O co go pani posądza?

— Nie chciałabym o tym mówić, ale tyle się dziś pisze o podobnych sprawach...

Poirot nie tracił cierpliwości. — Proszę mówić bez obawy. Jaka to będzie radość, gdy pani się przekona, że podejrzenia były niesłuszne.

— To prawda. Zresztą lepiej powiedzieć, niż żyć stale w niepewności. A więc... obawiam się, że chcą mnie otruć.

— Jaka jest podstawa tych podejrzeń?

Pani Pengelley opisała szczegółowo objawy swych dolegliwości.

Detektyw zamyślił się. — Boli panią żołądek po jedzeniu? Co na to mówi lekarz?

— Jest przekonany, że mam ostry nieżyt żołądka i jelit. Może to prawda, a może... Za każdym razem, gdy Edward jest poza domem czuję się dobrze. Gdy wraca — choruję. Czy to nie dziwne? Nawet Freda to zauważyła, moja siostrzenica. Poza tym butelka z płynem owadobójczym, nigdy dotąd nie używana, jak mówi nasz ogrodnik, jest do połowy opróżniona.

Poirot wziął ołówek i notes. — — Gdzie państwo mieszkacie?

— W Polgarwith, małym miasteczku w Kornwalii.

— Od jak dawna?

— Od czternastu lat.

— Czy macie dzieci?

— Nie. Mamy tylko siostrzenicę, Fredę Stanton. Jest to córka jedynej siostry mojego męża. Mieszkała z nami w ciągu ostatnich ośmiu lat. Przed kilku tygodniami wyprowadziła się.

— Co się stało?

— Nie wiem, jak to tłumaczyć. Freda zrobiła się niegrzeczna, wręcz impertynencka i wreszcie wynajęła sobie pokój prywatnie. Odtąd jej nie widziałam. Pan Randor mówi, żeby zostawić ją w spokoju, może sama wróci do domu.

— Kto to jest pan Randor?

Kobieta zmieszała się. — To jest nasz przyjaciel. Bardzo uprzejmy młodzieniec.

— Czy jest coś między nim a pani siostrzenicą?

— Absolutnie nic — stwierdziła pani Pengelley.

— Do kogo należy majątek, który państwo posiadacie?

— Ja nic nie mam, wszystko jest Edwarda.

— Proszę wybaczyć, madame, że będę może niedelikatny, lecz musimy znaleźć motyw, dla którego mąż chciałby panią otruć. Czy pani coś widzi w tej sprawie?

— Owszem, tę blond małpkę, która u niego pracuje — krzyknęła kobieta z wściekłością. — Mąż jest dentystą i musi zatrudniać sekretarkę, która umawia się z klientami i przygotowuje materiał. Słyszałam już wiele plotek na ich temat, lecz Edward przysięga, że nic ich nie łączy.

— Czy siostrzenica ma swoje pieniądze?

— Tylko pięćdziesiąt funtów na rok. Byłaby na pewno zadowolona, gdyby po moim odejściu mogła wrócić do Edwarda, aby się nim zajmować.

— Czy pani myślała o porzuceniu męża?

— Nie mam zamiaru pozostawić mu wolnej drogi. Żony nie są już niewolnicami, panie Poirot.

— Czy pani wraca teraz do Polgarwith?

— Przyjechałam tylko na jeden dzień. Wracam dziś po południu pociągiem o godzinie 5-tej.

— Dobrze. Jutro przyjadę do was. Powiemy, że obecny tu Hastings jest pani dalekim krewnym. A ja wystąpię w roli jego przyjaciela, cudzoziemca. W międzyczasie proszę jeść tylko to, co pani sama przygotuje. A więc do jutra!

Detektyw odprowadził kobietę i wrócił do swego fotela.

— Co myślisz o tym, Hastings?

— Jakaś nieprzyjemna sprawa.

— Tak, jeżeli to, co podejrzewa kobieta jest prawdą. Ale czy jest? Pani Pengelley boi się swego męża. Możliwe, że kryje się za tym prawdziwy dramat.

— Ta druga kobieta komplikuje sprawę? — zapytał Hastings.

— Właśnie. Pod wpływem zazdrości uczucie może się przeobrazić w nienawiść. Ale to zaprowadziłoby ją raczej do policji, niż do mnie. A może pani Pengelley udaje? Nie, na pewno była szczera. Hastings, dowiedz się o pociągi do Polgarwith.

* ☆ *

Pierwszy dogodny dla nas pociąg odjeżdżał o godzinie 14 ze stacji Paddington. Podróż była dość monotonna. Przybyliśmy na miejsce około godziny 19. Zajęliśmy pokój w hotelu i po kolacji Poirot postanowił złożyć wizytę mojej „kuzynce".

Dom państwa Pengelley stał niedaleko od głównej drogi. Miał od frontu obszerny ogród. Poirot nacisnął dzwonek. Nie było odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz. Dopiero po dłuższym czasie otworzyła drzwi pokojówka Jessie. Oczy miała czerwone od płaczu.

— Chcielibyśmy zobaczyć panią Pengelley — wyjaśnił detektyw. — Czy możemy wejść?

Pokojówka spojrzała na nas dziwnie. — Pani nie żyje. Zmarła pół godziny temu.

Skamienieliśmy.

* ☆ *

— Na co umarła? — zapytałem, gdy weszliśmy do pokoju.

Pokojówka spojrzała w głąb mieszkania. — Gdybym nie musiała nad nią czuwać, dawno bym stąd odeszła. Ja nic nie chcę mówić... ale wszyscy o tym wiedzą. Całe miasto. Jeżeli pan Randor nie doniesie, gdzie należy, zrobi to ktoś inny. Lekarz może sobie mówić co chce. Czyż nie widziałam, jak pan Pengelley brał butelkę z płynem owadobójczym dziś wieczorem? Gdy spotrzegł, że patrzę na niego, przestraszył się. A ten talerz owsianki na stole już przygotowanej do jedzenia dla pani? Nie, nie dotknę żadnego pokarmu w tym domu, choćbym miała umrzeć z głodu!

— Gdzie mieszka lekarz twojej pani? — zapytał Poirot.

— Doktor Adams? Na skrzyżowaniu z High Street. Drugi dom na lewo.

Poirot szybko się pożegnał. Był blady i zdenerwowany.

— Jak na osobę, która nie chciała nic mówić, powiedziała dość dużo — zauważyłem.

Poirot załamał ręce. — Byłem głupcem, zbrodniczym głupcem, słyszysz Hastings? Zawierzyłem memu rozumowi — i oto zniszczyłem życie ludzkie, życie człowieka, który przyszedł do mnie, abym go ratował. Jej opowiadanie wydało mi się grubą przesadą... Oto dom lekarza, zobaczymy, co nam powie.

Doktor Adams był typowym wiejskim eskulapem. Przyjął nas serdecznie, lecz dowiedziawszy się o celu wizyty, poczerwieniał ze złości.

— Nonsens! Przecież ją leczyłem! To był prosty przypadek nieżytu żołądka. Nasze miasteczko jest gniazdem os... Gromadą bab, które nie mają co robić i zmyślają nie wiadomo co. Czytały o czymś podobnym w gazetach i uroiły sobie, że ktoś został otruty. Znam Edwarda Pengelley, nie otrułby nawet psa. I dlaczego miałby zabijać swą żonę? Powiedzcie mi, dlaczego?

— Jest tu jedna rzecz, monsieur, o której chyba pan nie wie — rzekł spokojnie detektyw.

Opowiedział lekarzowi o wizycie pani Pengelley i o tym, co mówiła. Adams słuchał zdumiony.

— To okropne! Biedna, wystraszona kobieta! Dlaczego mi się nie zwierzyła?

— Żebyście ją postawili pod pręgierzem?

— Nic podobnego! — zaperzył się lekarz. — Jestem człowiekiem o szerokich horyzontach.

Detektyw spojrzał na niego i uśmiechnął się. Lekarz był więcej zmieszany niż chciałby się do tego przyznać. Gdy wyszliśmy na ulicę, Poirot krzyknął: — Uparty jak muł! Powiedział, że nieżyt, więc musi być nieżyt!

— Co teraz zrobimy? — zapytałem.

— Wracamy do hotelu i wyśpimy się, mon ami.

— A jutro?

— Nie mamy tu już nic do roboty. Wrócimy do Londynu i poczekamy na dalsze wydarzenia.

— Chyba nie powinniśmy — powiedziałem z niezadowoleniem. — A jeżeli nic się nie wydarzy?

— Wydarzy się na pewno! Przyrzekam ci. Ten doktór może wystawić ile chce zaświadczeń, lecz nie powstrzyma setek ust od gadania. I dzięki temu coś się wydarzy, zobaczysz.

Pociąg do Londynu odjeżdżał następnego dnia o godzinie 11. Przed opuszczeniem miasteczka Poirot zapragnął poznać Fredę Stanton. Z łatwością odnaleźliśmy dom, w którym wynajęła pokój. U Fredy zastaliśmy przystojnego młodzieńca, o czarnych włosach, i śniadej cerze. Przedstawiła go nam jako pana Józefa Randora.

Panna Freda, ładna niebieskooka blondynka, miała w twarzy jakiś wyraz, który zdradzał wojownicze usposobienie.

— Biedna cioteczka — rzekła, gdy Poirot wyjaśnił jej sprawę. To straszne. Ciągle sobie teraz wyrzucam, że powinnam była zachować się z większym dla niej szacunkiem.

— Dość się tam namęczyłaś — przerwał jej Radnor.

— To prawda, lecz mam także nieznośny charakter. Ostatecznie, jeżeli ciotka zaprzątnęła sobie głowę takim głupstwem, nie należało zwracać na to uwagi. Dlaczego jednak opowiadała, że wuj chciał ją otruć? Owszem, czuła się źle po jedzeniu, ale mogło to wynikać z prostej autosugestii.

— Jaka była przyczyna waszej niezgody, mademoiselle?

Panna Stanton zawahała się, patrząc na Randora. Inteligentny młodzieniec zrozumiał w mgnieniu oka.

— Muszę już iść, Fredo — powiedział. Zobaczymy się wieczorem. Żegnam was, panowie! Sądzę, że już odjeżdżacie?

Poirot przytaknął i Randor wyszedł.

— Jesteście narzeczonymi, prawda? — zapytał Poirot uśmiechając się.

Freda zaczerwieniła się. — Tak i to właśnie ciotce przeszkadzało.

— Nie aprobowała waszych zamiarów?

— Sprawa jest skomplikowana. Widzi pan, ciotka... — Dziewczyna umilkła.

— Proszę mówić dalej — zachęcał grzecznie detektyw.

— Nie powinnam teraz o tym mówić, gdy ona umarła. Ale nie zrozumiecie nigdy, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię. Otóż ciotka była zadurzona w Józefie.

— Naprawdę?

— Tak. Wprost absurdalne! Miała powyżej pięćdziesięciu lat a on ma trzydzieści. Była zakochana po uszy! Wreszcie musiałam jej powiedzieć, że Józef mnie kocha. Zwymyślała mnie, a ja nie pozostałam dłużna. Później rozmawialiśmy o tym z Józefem i doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, gdy wyprowadzę się na jakiś czas, dopóki się nie uspokoi. Biedna cioteczka, pewnie się tym bardzo przejęła!

— Raczej tak. Dziękuję, mademoiselle, za udzielone mi informacje.

* ☆ *

Na ulicy oczekiwał nas Randor. Zaskoczyło mnie to.

— Sądzę, że Freda panom wyjaśniła — zaczął mówić. — Rzecz bardzo kłopotliwa, szczególnie dla mnie. Najpierw cieszyłem się, gdyż myślałem, że mi pomoże w moich sprawach z Fredą. Ale wszystko tak absurdalnie poplątało się.

— Kiedy poślubi pan Fredę?

— Mam nadzieję, że niedługo... Poirot, chcę być z panem szczery. Wiem dużo więcej niż Freda.

DALSZY CIĄG NASTĄPI

Lewym okiem

MĘSKA SPRAWA

Ciekawe, że wszelkiego rodzaju hobby są cechą prawie wyłącznie męską. Jeśli abstrahować od wieku dziecięcego, kiedy wiele zainteresowań jest wspólnych dla obu płci — kobiety nie zbierają znaczków, nie chodzą na ryby, nie należą do związku miłośników akwarium i nie hodują gołębi pocztowych. W wielce uczonym dziele „Płeć i charakter" uczony wiedeński, Weininger, udowadniał kiedyś brak duszy u kobiety między innymi tym właśnie, że panie po dojściu do pełnoletności nie umieją się już bawić w dziecięcym sensie tego słowa, tracą tę cechę charakteru, która u wielu mężczyzn przebija aż do śmierci: dziecińswo. Zdolność bawienia się głupstwami, kolejką elektryczną, klockami...

Mniejsza o duszę, której pojęcie zmienia się z upływem stuleci. Obserwacja jest jednak trafna, rzadko spotyka się u kobiet zainteresowania zupełnie platoniczne, abstrakcyjne, a swym nasileniem graniczące z manią. Oto na przykład dowiaduję się, że w klubach szaradzistów, wśród wielkiej armii rozwiązywaczy krzyżówek, rebusów i logogryfów, dziewięćdziesiąt procent stanowią mężczyźni. Tak niski procent feminizacji wykazuje poza tym chyba jedynie branża górnictwa węglowego, wszędzie indziej stosunek płci jest o wiele bardziej wyrównany.

To bardzo ciekawy typ człowieka: szaradzista. Ma swoją prasę o nakładzie jednorazowym blisko trzystu tysięcy egzemplarzy, poświęconą wyłącznie zagadkom i rozchwytywaną w kioskach. Ma oprócz tego swój kącik rozrywek umysłowych we wszystkich prawie czasopismach i swoje kluby we wszystkich większych ośrodkach miejskich, a nawet przy większych zakładach przemysłowych. Aż dziw bierze, że tak duża i bardzo aktywna umysłowo grupa społeczna, tak rozległa i masowa dziedzina działalności par excellence kulturalnej nie jest przedmiotem gruntownego, wszechstronnego zainteresowania odpowiednich placówek naukowych czy choćby bieżących przyczynków ze strony prasy kulturalnej. Czytaliśmy już rozprawę doktorską o historii gry w palanta w Polsce, a także rozprawę doktorską o systemach skoku przez skrzynię bez odbicia. O rozrywkach umysłowych głucho.

Opublikowane w „Kalendarzu szaradzisty" fragmenty pracy magisterskiej, złożonej w katedrze socjologii szczegółowej Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Rozrywki umysłowe jako element kultury masowej", są zaledwie zasygnalizowaniem sprawy i wiążących się z nią problemów. Autorka — pani Ewa Nowakowska — przeprowadziła wiele wywiadów z członkami redakcji i z korespondentami pism, poświęconych zagadkom. W podsumowaniu stwierdza z dużym naciskiem, że zetknęła się z ludźmi o bardzo szerokich zainteresowaniach, o zdumiewająco rozległej wiedzy ze wszystkich dziedzin, wielkim oczytaniu, świetnej orientacji w życiu współczesnym. Charakterystyczne jest, że ludzie nie tylko lubią rozwiązywać zagadki, ale może jeszcze bardziej — samemu te zagadki wymyślać. Autorów rozrywek jest mnóstwo, zasypują redakcje swymi pomysłami, a trzeba przyznać, że są to często zagadki bardzo zręczne i inteligentne, wymagające dużego wysiłku umysłowego przy ich rozwiązywaniu.

I na tym chyba polega sens krzyżówek, szarad i rebusów: wymagają wysiłku, zmuszają do myślenia, do czynnej, stałej uprawy szarej mózgowej masy. To nie to, co usiąść i gapić się w telewizor. To jest rozrywka czynna, a przy tym pozwalająca w sposób bardzo atrakcyjny popularyzować ważne hasła i treści społeczne, światopoglądowe, naukowe.

Rozwiązujmy zatem krzyżówki — byleby nie w godzinach pracy i byleby nie blokując przy tym połączeń telefonicznych w godzinach szczytu.

Pierwsza pomoc szaradzisty na „N"? Encyklopedia.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2066. B-4.